Rok VII. Lwów, Niedziela dnia 29. Lutego 1880 r. **Tom X.**

TYDZIEŃ POLSKI

Nr. 9.

PRENUMERATA we LWOWIE
Rocznie 14 zł. półrocznie 7 zł. kwartalnie 3 zł. 50 ct.
PRENUMERATA na PROWINCJI
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie **17** zł. **60** ct. półrocznie **8** zł. **80** ct. kwartalnie **4** zł. **40** ct.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA:
W KSIĘGARNI POLSKIEJ
L. 14 plac Halicki.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni **J. K. Żupańskiego** w POZNANIU. PRENUMERATA w POZNANIU: Kwartalnie **7** m. z przesyłką **8** m. **50** f.
We Francji, Anglji, Ameryce itd. kwartalnie **10** franków.
W Krakowie skład główny w księgarni **S. A. Krzyżanowskiego.**

W KWESTJI ŻYDOWSKIEJ.*

II.

Z wypowiedzianego przy końcu pierwszego artykułu zamiaru nie wypływa bynajmniej, jakobyśmy chcieli stawać w obronie rzeczywistych i zaprzeczyć się nie dających wad bardzo znacznej, może nawet przeważnej części społeczeństwa żydowskiego. Przeciwnie, uważamy to jako nasz obowiązek wytykać je otwarcie i bezwzględnie, boć trudno dążyć do usunięcia złego, jeżeli się go wyraźnie nie oznaczy. Będziemy się jednak starali wyświecić równocześnie jego przyczyny i wskazać komu za nie winę przypisać należy.

Komu przypisać winę?! — nie taimy przed sobą, że o ile łatwą jest rzeczą dochodzić pierwszych przyczyn stanu rzeczy, który mamy przed sobą, zwłaszcza jeżeli się zna dokładnie stadja, przez jakie sprawa badana przechodziła, o tyle trudniej jest w kwestji czysto politycznej, a to w kwestji tego zakroju, jak kwestja żydowska, której pierwotne przejścia tylko z historycznych trzeba badać źródeł, i która nam się zatem nigdy w drobniejszych nie przedstawia szczegółach, osądzać, kto na te a nie na inne sprowadził ją tory i z jakim to czynił zamiarem. Jeżeli nadto ten ktoś jest narodem całym, jak w naszym wypadku, wtedy już nie o winie, lecz chyba tylko o błędach popełnionych przez jego przewodników i prawodawców mowa być może. Wszak z pewnego punktu widzenia, cała historja nie jest niczem innem, jak opisem szeregu błędów popełnionych przez jednych, a wyzyskiwanych przez drugich, a nasze dzieje ojczyste może bardziej niż inne zapatrywanie to stwierdzają. Wyrzekliśmy się na wstępie wszelkich rekryminacji zwróconych przeciw żydom, wyrzekamy się ich także w obec błędów popełnionych w przeszłości przez nas samych, ale licząc się z faktami dokonanemi, sądzimy, iż jest obywatelskim obowiązkiem, każdego, który sprawami publicznemi się trudni, przyczyniać się o ile możności z swej strony, aby takich błędów nie popełniano przynajmniej w przyszłości. Kto zastanowił się nad sposobem, w jaki w ostatnich czasach zabierano się do załatwienia tej kwestji, ten przyzna, że z jednej i z drugiej strony grzeszono — że tak żydzi jak ich przeciwnicy w urządzeniu wzajemnego do siebie stosunku, popełniają dalej błędy, mogące dla obydwu stron mieć smutne następstwa i dlatego podjęliśmy się omówienia tej kwestji.

Przystępując do rzeczy pragnęlibyśmy streścić wyrzuty czynione pospolicie żydom. Znajdujemy przed sobą obfity materjał przygotowany już od dawna przez ich oskarżycieli, możemy powtarzać go ze wszystkiemi szczegółami i odcieniami, ale zdaje nam się, że możnaby zarzuty te w trzy główne ująć grupy.

Pierwszy i najczęściej w rozmaitych warjantach powtarzany zarzut jest ten, iż żydzi bez względu na godziwość środków gonią za zyskiem i w zabiegach swych, dzięki rasowym właściwościom mają powodzenie.

Drugi zarzut, który od czasu formalnie zaprowadzonego równouprawnienia bywa żydom czyniony, opiewa, iż umieją usuwać się od wspólnych wszystkim obywatelom obowiązków i przez to oczywiście pośrednio wyrządzają krzywdę swoim współobywatelom.

Trzecie wreszcie — wedle naszego przekonania najcięższe oskarżenie, bo nadające i dwom poprzedzającym piętno zawistne, podnosi okoliczność, iż żydzi różnią się od nas językiem, obyczajami, strojem, że nie zlali się dotąd z narodem polskim w jedną całość, lecz tworzą odrębną rasę, jednem słowem, że są obcym narodem w naszym narodzie. Tym, samo przez się ciężkim oskarżeniom dodaje jeszcze grozy skonstatowanie faktu, iż żydzi szybciej jak narody wspólnie z nimi mieszkający, się mnożą, że zatem złe i połączone z niem niebezpieczeństwo wzrasta w sposób zatrważający. W końcu w naszej prowincji, a szczególniej w wschodniej jej części przybywało do powyższych już teraz mniej wyraźnie występujące pomawianie żydów, iż są filarami wrogiego krajowi germanizmu.

Zastanawiając się po kolei nad pojedynczemi ustępami tego oskarżenia, przyznajemy, iż trudno byłoby bronić żydów — musimy raz na zawsze skonstatować, że nie o wszystkich, lecz o poważnej ich ilości mówimy — przed zarzutem iż o godziwości środków, używanych przy zdobywaniu sposobów egzystencji mają często cokolwiek elastyczne, a co najmniej różniące się od ogółu zapatrywania. Ale nie można zamykać oczu przed rzeczywistemi tego zjawiska przyczynami i należy zbadać, czy inaczej być mogło.

Nie chcemy cofać się do dawniejszych czasów, w których żydzi pod względem ekonomicznym znakomite, nawet uprzywilejowane zajmowali stanowisko i wypełniali ową lukę, istniejącą w społecznym ustroju dawnej Polski z powodu zupełnego braku stanu średniego, lukę, którą wzięliśmy po części w spuściznie, i którą często jeszcze w pracach publicznych boleśnie odczuwamy. To jednak zaznaczyć należy, iż mimo uprzywilejowanego stanowiska, nigdzie nie ma śladu, by żydzi wówczas tworzyli naród w narodzie i działali na szkodę kraju. Za czasów Jana Kazimierza, który uszczuplił ich przywileje rozpoczyna się upadek żydów, a od czasów Zygmunta „poszli oni,“ jak się wyraża jeden z historyków naszych, „zupełnie w pogardę.“ Nigdzie nie ma śladu z jakich zwrot ten nastąpił powodów, dość, że od owych czasów żydzi wykluczeni z wszelkiego rodzaju urzędów, następnie i rzemiosł, nieprzypuszczeni do posiadania a zatem i do uprawy ziemi, musieli ograniczać się na wykonywaniu handlu i przemysłu. Jakich rozmiarów był i jest jeszcze po dziś dzień przemysł w Polsce, wiemy dobrze, a handel, który chociaż prawie wyłącznie był w ręce żydów oddany, w ówczesnym rozwoju ekonomicznym Polski, nie posiadał takich rozmiarów, iżby wszystkim żydom przyzwoitą dawał egzystencję. Nędza i głód złemi są nauczycielami, wszędzie i zawsze sprowadzają w mniejszym lub w większym stopniu spodlenie i upadek, a u żydów przy-

(*) Patrz Zeszyt 4 Tygodnia r. 1880.

chodziło w pomoc piętno pariasów społecznych, którem ich ówczesne stosunki obdarzyły. Jakiż więc mógł być rezultat? Gdy już nic najskromniejszych ich potrzeb zaspokoić nie mogło, część żydów została powolnem, zręcznem narzędziem w ręku uprzywilejowanych, przy wyzyskiwaniu przywilejów wstrętnych i szkodliwych... wzięła się do dzierżawy propinacyj! Jako kupcy przezorni i przebiegli pośród lekkomyślnych, jako arendarze trzeźwi i spokojni pośród skłonnych do wszelkiego rodzaju wybryków, z przekonaniem że tylko posiadanie jakiegokolwiek dobytku poręcza im możliwość ludzkiej egzystencji, w potrzebach swych skromni do przesady, przytem ze wszech stron gnębieni i uważani jako stworzenia niższego rzędu, musieli, żyjąc tylko między sobą, wyrobić także między sobą pewne, odrębne od innych z nimi wspólnie kraj zamieszkających ludów, »zapatrywania na wszystkie życia stosunki, a zapatrywania te wpłynęły także i ze stanowiska moralności niekoniecznie korzystnie na pojęcia ich o godziwości środków, prowadzących do zamierzonego celu. Zjawisko to nie jest nowe i jedyne, wszędzie, gdzie stosunki nieszczęsne wyradzają pewną liczniejszą kastę pariasów, powtarza się ono z małemi odmianami w szczegółach, z matematyczną regularnością i wszędzie ustaje ono w miarę, jak ustaje działanie przyczyn które je stworzyły.

Zjawisko to znajduje swoje usprawiedliwienie, w przyrodzie, znajduje swe potwierdzenie w historji i w polityce, stworzyło ostatnią szkołę filozoficzną i da się ująć w hasło często powtarzane, a rzadko w całej swej zrozumiane doniosłości, „Walka o byt.“

DZIWNE KARJERY

POWIEŚĆ

Jana Lama.

(Ciąg dalszy.)

— Byłby to za wielki zaszczyt dla mnie, figurować w *Szturchańcu*, obok Bismarków, Beaconsfieldów i innych znakomitości tego rodzaju. Organ ten zaledwie czasem zniża się na poziom Wilkowa, a i wówczas zajmuje się tylko wyższemi sferami, albo sprawami mającemi związek z polityką całego świata.

— Jabym cię właśnie przedstawił jako pierwotny typ tej rasy, z której wychodzą politycy wilkowscy. Bujne marzenia, sięgające daleko po za granice rzeczywistości i możności; a gdy przyjdzie do wykonania najmniejszej bagatelki, nieradność, bałamutność, płaksiwość liryczna, jak nieprzymierzając, u pana Dobrodzieja, w stosunku z panną Natalją. Ty byłbyś ponoś w stanie zakochać się w córce cesarza chińskiego i wielbić ją w najpodnioślejszych rymach, prozą zaś przemówić do ubóstwianej sekretarzównej, to przechodzi miarę twojej odwagi i energji... A może — dodał pan Smiechowski zamyśliwszy się na chwilę — może taki sąd o tobie byłby zbyt powierzchownym i niesłusznym. Porównanie z politykami wilkowskimi wypadłoby raczej na twoją korzyść. Tutaj każdy, im mniej jest powołanym, tem bardziej ma się za wybranego. Krawiec rozprawia o stosunkach włościańskich, szewc o podniesieniu górnictwa, były podstarości o zakładaniu banków, zbankrutowany hidalgo, o kasach oszczędności, kupczyk bławatny o elegancji, a grand wracający prosto z balu Mabille w Paryżu, o naprawie obyczajów i o niemoralności rozwodów. Co się zaś tyczy dziennikarstwa, to nie znajdziesz w całym kraju osła czystej krwi, obok tej naturalnej kwalifikacji mogącego poszczycić się najwszechstronniejszem i najgruntowniejszem nieuctwem, któryby się nie podjął redagowania jakiej gazety. Weź, naprzykład, Mitręgę!

— Mitręga, przyznam ci się, nie wydał mi się ani osłem, ani nieukiem, chociaż rozmawiałem z nim dwa razy dość długo o różnych przedmiotach...

— O, bo posiada on spryt, właściwy paniczom tego rodzaju, i umie w potocznej rozmowie wyrąbać się tak, że nikt nie pozna właściwego stanu jego erudycji. Sądziłbyś o nim inaczej, gdybyś posłuchał, jak go czasem Języczkowski zacznie wciągać w dyskusję uczoną, i wydobywać z niego, jak z kopalni, nieprzebrane skarby nonsensów, zdobiące później najzabawniejsze rubryki *Szturchańca*. Wiesz co? Jeszcze wcześnie — wstąpmy do cukierni, gdzie z pewnością zebrane jest grono literatów i polityków, a zakończysz wesoło dzień, który jako dzień przechadzki z panną Natalją znaczony być powinien czerwonym ołówkiem w kalendarzu twojego żywota.

Stanisław nie opierał się, i obydwaj przyjaciele weszli do przybytku poświęconego spożywaniu lodów, ciast i herbaty, złożonego z dwóch maleńkich pokoików, przepełnionych gośćmi, wracającemi bądź z zabawy ogrodowej, bądź ze zgromadzeń politycznych, które odbyły się z powodu blizkiego wyboru ambasadora. Przybytek ten był świetnem rozwiązaniem problematu, jakimby sposobem można połączyć najrozmaitsze rodzaje niewygody i nieporządku na jak najmniejszej przestrzeni. Przedewszystkiem, zwyczaj chciał, i gorąco nakazywało, że nie można było utrzymać kapelusza na głowie, ale też nie było go gdzie powiesić, albo postawić. Ta sama trudność nasuwała się co do umieszczenia zwierzchniej odzieży, która powieszona na kołku, wnet kąpała się w czyjejś czekoladzie, albo kawie. Pierwsze krzesło, na którem usiadłeś, było złamane i wywracało się z tobą, drugie okazywało się wytrzymalszem, ale natomiast przy powstaniu, za pomocą zdradziecko wbitego gwoździa, rozdzierało ci tę część ubrania, bez której byłbyś posągiem starożytnym, albo Szkotem. Na stole przed sobą zastawałeś kilka wypróżnionych ale nie wypłókanych serwisów, okruszyny rozmaitego jadła, ogarki z cygarów, popioły z tytoniu, i szczątki podartych i powalanych gazet. W powietrzu ścielił się dym kilkunastu gatunków *herbae nicotianae*, walczących z sobą o pierwszeństwo, który jest mniej wonnym, temperatura, podług Celzjusza, wynosiła w lecie 30 stopni ciepła, a w zimie 10 stopni zimna, jak w całej Milicji, ale miarkowana była tym razem za pomocą przypadkowej wentylacji, pochodzącej z szpar w oknach, dzięki którym Wilków był istnem Eldorado dla dentystów. Kto chciał dostać lodów, kawy, herbaty, lub czego podobnego, musiał prosić o to tak długo, że w końcu przychodziło mu na myśl, czyli właściwie nie powinienby był wnieść w tej mierze pisemnego podania na stęplowanym papierze do oberszpitalnika i oberkomisarza krajowego, i uzyskać koncesję, aprobowaną przez ministerjum w Krachenburgu. Jednem słowem, zakład p. Gościckiego, (*confiseur-pâtissier* à Wilków), był publicznie tem, czem prywatnie było gospodarstwo p. Smiechowskiej.

Znajomi nasi przepchali się jakoś szczęśliwie do najodleglejszego kącika, w którym zastali w istocie towarzystwo, o jakiem wspominał p. Władysław. Za stołem siedział dr. Mitręga, w asystencji jakiegoś hidalga, pragnącego z własnych ust nowego władcy *Orędowniczki* zasięgnąć języka o tem, co myśli Bismark, i jak stoi sprawa traktatu handlowego między królestwem Siamskiem a Zjednoczonemi Stanami, jakoteż jakiegoś drugiego jegomości, nie trudniącego się niczem w życiu i nie zwracającego niczyjej uwagi na siebie, ale trapionego nieustannie obawą przed dziennikarzami, ażeby go »nie opisali w gazetach«. Dalej był tam jakiś poeta, czy artysta, którego ambicją było przeciwnie dostać się do gazet i figurować w nich jak najczęściej, byle korzystnie, i jakiś przedsiębiorca robót publicznych, który widocznie za pośrednictwem *Orędowniczki* spodziewał się przy najbliższej licytacji mimo wyższej oferty wziąć górę nad innymi współzawodnikami, bo męczył dr. Mitręgę bez ustanku propozycjami, czy nie napiłby się np. dobrze zamrożonego szampana, albo czy nie pozwoliłby sobie służyć ponczem *à la romaine*, i t. p. Pan Emanuel br. Mitręga był atoli zbyt comme il faut, ażeby miał oddawać się libacjom tego rodzaju w lokalu niearystokratycznym, i do którego zazierał jedynie z potrzeby bezpośredniego działania na opinję publiczną — pił więc czystą herbatę i spoglądał co chwila na zegarek, powtarzając, że ma jeszcze dużo do czynienia i spieszy się bardzo. Kilka innych osób grupowało się jeszcze dokoła tej gwiazdy nowo odkrytej na politycznym widnokręgu Wilkowa, i spoglądało na nią z uwielbieniem — nie mędrców ze Wschodu, ale Milicjan z Milicji. Nakoniec, naprzeciw dr. Mitręgi siedział p. Języczkowski, redaktor *Szturchańca*, figlarna figurka, pochylona nieco na jedną stronę z powodu, że miał jedną nogę krótszą od drugiej — w skutek czego nietylko moralnie, ale i fizycznie podobnym był do Asmodeusza. Dr. Mitręga spoglądał na niego z pewnym rodzajem niedowierzania, czy trwogi, jak delikwent na sędziego śledczego; ale też należy przyznać, że p. Języczkowski poznawszy słabe strony pana doktora, czy barona, wyzyskiwał je nielitościwie.

— Jakże pan wyszedłeś z zasadzek i niebezpieczeństw festynu ogrodowego—za-

pytał go p. Smiechowski, gdy wraz ze Stanisławem dzięki jakiemuś cudowi znalazł nakoniec miejsce przy stole zaszczyconym obecnością dwóch redaktorów.

— Jako tako — odparł Językowski — »I ja też miałem Beatrycze moją«. — Tu spojrzał znacząco na dra Mitręgę, jak gdyby oczekiwał, że ten nie opuści sposobności podchwycenia tego cytatu i powiedzenia kilku słów o poezji, ku zbudowaniu obecnych. Jakoż, dr. Mitręga ruszył się niespokojnie na krześle, ale — nic nie rzekł.

Na nieszczęście, hidalgo, który go uważał za źródło wszechwiedzy – zapytał go wprost:

— A to co za Beatrycze?

— To ta... wiesz pan przecież... obraz... z którego jest tragedja... Beatryx Cenci...

— Więc sądzisz pan, panie doktorze — zagadnął nieubłagany Języczkowski — że Krasiński miał tu na myśli Beatrycze Cenci Słowackiego?

Sprawa była tym razem trudniejszą, niż z ową konjunkturą chmielową i z zecerem. Przytomność umysłu nie opuściła jednak dra Mitręgę nawet w tak ciężkiej chwili, i rzekł z westchnieniem:

— Każdy poeta ma swoją Beatrycze!

— Zapewne — odparł Śmiechowski, wchodząc w przymierze zaczepne z Języczkowskim — ale pan doktor powiedziałeś p. Hreczkosiejskiemu, że Krasiński w wierszu przytoczonym przez obecnego tu Szturchańca, miał na myśli Beatrycze Cenci, malowaną czy dramatyzowaną, gdy tymczasem twierdzenie takie nie wytrzymałoby krytyki...

— *La critique est aisée, et l'art est difficile!* — zawołał tryumfująco dr. Mitręga, który wiedział o tem, że w Milicji i niektórych innych krajach można poszkapić się (sit venia verbo) w niejednym kierunku i naprawić wszystko jednym frazesem francuskim, powiedzianym bez rażącej pomyłki. Jakoż w istocie, jegomość bez zatrudnienia, żyjący w trwodze przed redaktorami, trącił łokciem przedsiębiorcę robót publicznych i szepnął dosłyszalnym na cały pokój półgłosem:

— Co za wykształcenie! Włada wszystkiemi językami!

Przedsiębiorca zawrócił oczy w słup, na znak niemego uwielbienia. Hidalgo machnął tylko ręką, jak gdyby chciał powiedzieć: To jeszcze nic; zobaczycie, co to za człowiek!

To było zgubą dra Mitręgi. Czy zapomniał na wieki, że nie czytał nigdy tragedji Słowackiego, czy źle sobie przypomniał, co gdzieś kiedyś słyszał o jakimś poecie, czy też nakoniec sądził, że to co powie, będzie zbyt ogólnikowem, ażeby się można skompromitować, dość, że ujrzał za stosowne, popisać się następującem zdaniem:

— Hm, gdyby nie ta nieszczęśliwa miłość do Beatryczy, mielibyśmy w Słowackim nietylko wielkiego poetę, ale wielkiego człowieka!

Języczkowski i Śmiechowski rozśmiali się głośno, a nawet poeta czy artysta, należący do improwizowanego dworu dra Mitręgi, uśmiechnął się dwuznacznie. Reszta obecnych z niedowierzaniem patrzyła to na siebie, to na p. redaktora-doktora, który czuł, że naraził na szwank jeżeli nie całą aureolę swojej nieomylności, to przynajmniej znaczny jej kawałek, i nie mógł ukryć pewnego pomięszania.

Na szczęście, biło w pobliżu jego jeżeli nie wielkie, to przynajmniej bardzo miękkie i dobre serce. Stanisław nie mógł znieść, ażeby ktokolwiek w jego obecności znalazł się w przykrej pozycji, i przyszedł mu w pomoc.

— Nie sądzę — rzekł spokojnie — ażeby Beatrycze była powodem tego, że Słowacki nie stanął tak wysoko, jakby może był mógł, raczej brak mu było Beatryczy... jaką miał Dante, o którego gwieździe przewodniej wspomina Bezimienny Poeta w wierszu przytoczonym przez pana Języczkowskiego.

— Ależ pan doktor mówił panu przecież wyraźnie, że jest tam mowa o obrazie, o tragedji, o Beatryx Cenci, a nie o Beatryczy Dantego.

— Pan doktor żartował zapewne...

— Oczywiście, że żartowałem — wpadł skwapliwie dr. Mitręga, niewymownie w duchu wdzięczny Stanisławowi. — Chciałem powiedzieć, czego panowie nie daliście mi dokończyć, że Słowacki przeszedł przez piekło za życia, jak Dant...

— Albo jak Dantyszek — dodał skwapliwie nieoceniony Stanisław, miarkując, że pan doktor puszcza się znowu na niebezpieczne wody i nie chcąc go opuszczać do ostatka.

— Ach, tak, Piast Dantyszek! — westchnął znowu dr. Mitręga, patrząc ponownie na zegarek. — Każdy z nas przechodzić musi przez piekło...

— Dobrze, że nie przez egzamin — zauważył pan Języczkowski.

— To dla niejednego byłoby trudniejszem — rzekł Śmiechowski — Ale, à propos Dantyszka, panie doktorze, i à propos egzaminu, moja córka, która jest w pensjonacie, zagadnęła mię wczoraj i nie umiałem jej odpowiedzieć, czy to Piast Dantyszek Słowackiego był biskupem warmińskim, posłem Zygmunta I. do różnych dworów i poetą?

Tym razem nie udała się sztuka, pan doktor bowiem, stwierdziwszy, że już bardzo późno, zabrał się był do wyjścia, a wraz z nim, powstali i ruszyli wszyscy dworzanie — co oczywiście przerwało dyskusję. Dr. Mitręga uścisnął poprzednio bardzo serdecznie dłoń panu Stanisławowi, w duszy swej bowiem nie tylko był mu wdzięcznym, ale nadto powziął był myśl genjalną. *Orędowniczka* potrzebowała »nowych sił«, to było faktem niezaprzeczonym — a taką nową siłą był niezawodnie Stanisław, który wiedział, co potrzeba, o Słowackim, o Krasińskim, o Dancie, o Dantyszku, o Beatryczy, i o wielu zapewne jeszcze innych rzeczach — wszak był profesorem. Dr. Mitręga postanowił sobie pozyskać jego współpracownictwo, tem bardziej, że był to widocznie młody człowiek bardzo skromny i wolny od ambicji, mógł przeto być bardzo użytecznym, a nie przyszłoby mu nigdy na myśl, zaćmiewać swego szefa. Podczas gdy Stanisław jeszcze ani marzył, jaką mu gotowano karjerę, dr. Mitręga ułożył już to wszystko w swojej głowie, wracając do hotelu w towarzystwie swego dworu, któremu od czasu do czasu rzucał kawały swojej erudycji, chciwie przez wszystkich chwytane. To też gdy go pożegnali, i gdy słyszał, jak odchodząc wołali na przemian: Tęgi człowiek! Ma głowę na karku! Takich nam dajcie! itp. — gdy szwajcar, otwierając bramę, uznał się głośno »najniższym sługą« pana barona — gdy nakoniec pan baron pomyślał, że oprócz własnego organu, ekwipażu, Marcina i sporego jeszcze zapasu idealników, będzie miał współpracownika umiejącego to wszystko, co redaktor umieć powinien — to był już nie w zwykłym raju, ale w siódmym, w siedmnastym...

I Stanisław wrócił do domu w niezłym humorze. Był to dla niego w istocie dzień, znaczony czerwono w kalendarzu, a nadto, poprzednia rozmowa ze Śmiechowskim dodała mu otuchy. W istocie, dlaczegożby nie miał ośmielić się, wyznać swoją miłość pannie Natalji, uzyskać jej wzajemność i zdobyć jej rękę. Wszak święci — i tam dalej — nie kończę porównania, bo przecież panna Natalja nie była garnkiem.

— Mam wcale niezłą pozycję — myślał nasz bohater. — Wkrótce zostanę wyższym nauczycielem, a z czasem, dyrektorem, inspektorem. Gdy skończę i wydrukuję moją rozprawę matematyczną, mogę nawet uzyskać profesurę na uniwersytecie. Sekretarz nie jest znowu tak bardzo bogatym, ani też nie jest familjantem. Kluszczyński, hm, to nie bardzo nawet świetna firma. Brzmiałoby nawet lepiej »Natalja Wołodecka«. Ach, Boże! Natalja Wołodecka! Natalja — *Wołodecka!*

Tak słodkie myśli kołysały do snu zakochanego pedagoga, gdy naraz, dały się słyszeć głosy i kroki na schodach, a po chwili, zapukano do drzwi.

— Kto tam?

— W imieniu prawa proszę otworzyć! — ozwał się niemiły głos w języku *Koszamerdynerów*, jednego z narodów, zamieszkujących Chaocję.

Stanisław, zdziwiony, wyskoczył z łóżka, i otworzył. Do pokoju jego weszła figura w *pikelhaubie*, mundurowym fraku, i z mieczem, jaką już widzieliśmy na zgromadzeniu wyborczem. Za tą figurą weszła druga podobniuteńka, za tą trzecia i czwarta. Piąta figura była już w zwykłem ubraniu. Szósta, dziesiąta, dwudziesta, uzbrojone były w broń palną z bagnetami, i zostały za drzwiami.

— Z rozkazu — rzekła pierwsza figura, rozwijając jakiś papier — z rozkazu wysokiego wyższego krajowego kolegium delegowanego mięszanego na zasadzie paragrafu 723go ogólnej prowizorycznej ustawy z r. 1411go dnia 31go czerwca o postępowaniu karnem i prowizorycznego dekretu nadwornego z dnia 30go lutego 1638go liczba 93.288 tymczasowego zbioru rozporządzeń porządku publicznego, podpisano: Salamonowicz, manu propria, mamy odbyć rewizję w pomieszkaniu pańskiem!

— Bardzo proszę — rzekł nasz bohater, nie mogąc przyjść do siebie ze

*

zdziwienia, i myśląc w duchu: Ciekawy jestem przecie, czego oni tu szukają, i co znajdą?

Rewizja trwała długo, bo jak zwykle u pedagoga, pisującego przy tem wiersze, pełno było u Stanisława książek i papierów, na które zwracano szczególną uwagę. Nakoniec jedna z figur w *pikelhaubach* podjęła z ziemi coś nakształt broszury, czy pamfletu, oglądnęła z blizka, i z miną tajemniczą zbliżyła się do figury, ubranej po cywilnemu. Poczem, obie figury, chrząkając, oglądały z bliska i na wszystkie strony papier pomieniony, i oddały go trzeciej figurze. To samo powtórzyło się z jakimś listem, który znaleziono w szufladzie. Nareszcie, gdy już niedaleko było do pierwszego brzasku dnia, ukończono rewizję, pięć figur znajdujących się w pokoju poszeptało sobie coś do ucha, i pierwsza z nich rzekła znowu:

— Prosimy pana z sobą.

Stanisław zachodził w głowę, coby to wszystko miało znaczyć, ubrał się machinalnie i wyszedł w towarzystwie swoich gości. Zaszedł aż do jakiegoś budynku urzędowego, gdzie w bramie znikły z pomiędzy pięciu figur cztery, piąta zaś i kilka innych uzbrojonych w bagnety zaprowadziły go na podwórze, jak mu się z początku zdawało do stajni. Gdy jednak otworzono drzwi, zobaczył przed sobą kurytarz, a w nim, na prawo i na lewo, drzwi z małemi okienkami, zaopatrzonemi siatką drucianą. Otworzono jedne z nich i wpuszczono go do jakiegoś ciemnego lokalu, poczem drzwi zawarły się za nim z łoskotem, towarzyszące mu figury znikły, i pozostał sam w ciemności, i w powietrzu gorszem nierównie niż w cukierni Gościckiego. Jedynym odgłosem, jaki przerywał ciszę, było chrapanie, ale też chrapanie takie, że trzęsły się niemal mury. O ile można było zmiarkować, wychodziło ono z czterech, albo pięciu piersi.

Rozpatrując się w ciemnościach, dostrzegł Stanisław w końcu okno, zakratowane i zasłonięte okiennicą w kształcie kosza.

Teraz dopiero domyślił się, że jest — w kozie.

Za co? Dlaczego? To były pytania, które daremnem było stawiać sobie w tej chwili. Hm, zapewne jakieś nieporozumienie. Wyjaśni się ono jutro rano, a tymczasem potrzeba się ulokować. Zresztą, w Milicji koza pozbawioną jest wszelkiej grozy, jaką mieć może gdzieindziej, tylko że bywa za to nierównie brudniejszą. Brak grozy tłumaczy się tem, że nie ma Milicjanina, któregoby nie zamykano od czasu do czasu, ale ponieważ więzień jest mało, a Milicjan dużo, więc zwykle każdego wypuszczają, skoro się znajdzie drugi na jego miejsce.

Stanisław rozważył to wszystko i doszedł do konkluzji, że na razie, nie ma co rozpaczać, ani krzyczeć, ani gniewać się lub oburzać, ale potrzeba znaleść kąt w którymby można przespać się — bo w dwudziestym siódmym roku życia bywa to o drugiej godzinie rano jedną z głównych trosk człowieka. Znalazłszy przypadkiem zapałkę w kieszeni, przy krótkim jej blasku odkrył, iż na lewo znajduje się »prycza« zupełnie niezajęta, położył się tedy na niej, i usnął.

Ale nim usnął, jakieś towarzystwo spóźnione przechodząc popodokna, zadziwiło zadziwionego już tylekrotnie, niezrozumiałym mu jeszcze naówczas okrzykiem:

— Niech żyje major Bombogromski! Wiwat! (C. d. n.)

SZKICE Z LITERATURY
MOSKIEWSKIEJ.

(Dokończenie.)

Kutków. Moskowskija Wiedomosti. Petersburgskie Wiedomosti. Północna Pszczoła. Gołos. Siewiernaja poczta. Moskwa. Kołokoł. Turgeniew. Dostojewski. Ostrowski.

Powstanie polskie nastręczyło wyborną sposobność ministrowi spraw wewnętrznych do rozpoczęcia sławnej patrjotycznej agitacji, wywołując adresy do cara wobec możliwej europejskiej wojny. Urzędnicy ministerstwa przebiegali prowincje, wskazując gubernatorom potrzebę adresów i rozdając nawet formularze samego adresu. Formularz ten drukowany (który posiadamy), pozostawiał zupełną swobodę zmianom według stosunków miejscowych. Nie był to tekst obowiązujący, lecz oznaczał minimum przywiązania do cara — wszystko co w nim było więcej przyjmowano z wdzięcznością. Lud został pociągnięty. Chociaż niezadowolony ze sposobu usamowolnienia, lud był wdzięczny carowi i zawsze czekał od niego swobody złotej, to jest swobody z nadaniem ziemi. Wezwania podziałały nań tem więcej, gdy mu powiedziano, iż Polacy są przyczyną, że Europa chce napaść na Moskwę, tak jak to było w r. 1812 i że powstanie wybuchło z tego powodu, że Polacy, jest panowie i katoliccy księża są oburzeni na cara, za oswobodzenie włościan. Jednem słowem, Wałujew w kłamstwie prześcignął Meternicha w r. 1846.

Szlachta moskiewska nie była tak naiwną, ażeby nie dojrzeć w wiernopoddańczym patrjotyzmie niekosztownego środka zbliżenia się do rządu i odzyskania przyjaźni jego. Pobita w najważniejszej kwestji, w kwestji usamowolnienia włościan, szlachta moskiewska poczuła, że dalsze pozostawanie w opozycji może doprowadzić rząd do większego zbliżenia do ludu, do rewizji dekretu usamowolnienia, w duchu więcej przychylnym dla włościan. Adresy dawały możność łatwo i bez kosztów nowych zbliżyć się do rządu. Szlachta więc we wszystkich guberniach i powiatach nagle poczuła w sobie ogień patrjotyzmu, którego świadectwo pospieszyła złożyć u stóp tronu.

Pozostawało jeszcze przychylić do widoków rządu cywilizowaną społeczność Petersburga i Moskwy, wpływową mniejszość na prowincji, towarzystwa literackie i młodzież.

Środki ministra spraw wewnętrznych były zbyt pospolite. Stolice wiedziały, jak się piszą adresy. Tu wziął się do rzeczy Gołownin i nietylko nie ustąpił w przebiegłości koleżce swemu Wałujewowi, lecz kierując dziennikarstwem, prześcignął go do tego stopnia, że wkrótce Wałujewa obwiniono o brak gorliwości i energji.

Prawda, że jedna ważna okoliczność przyszła na pomoc rządowi, który dzięki jej pozbył się silnego przeciwnika. Moskiewska społeczność była przyzwyczajona do szanowania opinji zachodu. Lecz Europa tak beztaktownie, tak głupio postępowała ze swemi notami, swemi bezbronnemi demonstracjami i swemi pokojowemi krzykami o wojnie, że nietylko urok jej zbladł zupełnie, ale w Moskwie zaczęto szukać wszelkich możliwych środków, aby drażnić ją i szydzić z niej. Rząd zdecydował się zgnieść Polskę i zniszczyć, nie robiąc żadnego ustępstwa, wciągając cały swój naród do tej nieludzkiej polityki. Rząd moskiewski umiał skorzystać ze swego szczęśliwego położenia.

Próba zrobiona w Petersburgu za pomocą półurzędowego dziennikarstwa, nie udała się. Rzucono się do miasta Moskwy, starej stolicy, centrum panslawizmu, miasta posiadającego uniwersytet, a jednocześnie wielkiego gniazda reakcji. To ostatnie słowo wymaga pewnego objaśnienia. W czasach Mikołaja, Moskwa stała na stronie i była niezadowolona z rządu. Mikołaj jej nie lubił. W Moskwie bardzo zajmowano się uniwersytetem, który był jedynem wielkiem źródłem światła dla kraju. Za panowania Mikołaja było to miejsce nauki nietylko dla studentów, ale dla całego miasta. Haxthausen, asystujący przy gorących dysputach sławianofilów z postępowcami, dziwił się, iż tak otwarcie wypowiadano zdania wręcz przeciwne z zapatrywaniami rządu. Po śmierci Mikołaja Moskwa zmieniła się nieco. Jak tylko ucisk z góry osłabł, a kwestja usamowolnienia włościan została poruszoną, Moskwa przekształciła się. Szlachta moskiewska, reprezentowana przez klub angielski i tak zwane arystokratyczne kółka, stanęły przeciwko rządowi, uniwersytet zaś i dziennikarstwo stanęły po stronie rządu. Lecz obaczywszy, dokąd rząd dąży, młodzież wkrótce zaczęła przechodzić do opozycji. Profesorowie, wszyscy prawie dzieci popów albo urzędników, którzy przekładali naukę nad biurokrację, elementu zwykle demokratycznego, porównywając straszne lata panowania Mikołaja z nowym stanem rzeczy, widzieli postęp i nie mogli pojąć, czemu młodzież jest niezadowoloną z rządu. Ciężki i bezpłodny doktrynerzym zawładnął uniwersytetem; łączność między profesorami i studentami rozchwiała się. Reakcja szła tak prędko naprzód, że pewien młody profesor prawa, wzywając cienie profesora Granowskiego, który niegdyś był bożyszczem uniwersytetu, zaczął swój wykład lekcją filozofji biernego posłuszeństwa. Mówca starał się przekonać słuchaczy, iż nie ma żadnej zasługi, gdy się poddaje i szanuje prawa sprawiedliwe, lecz że wielkim obowiązkiem człowieka jest bezwzględne posłuszeństwo wszelkiemu prawu, chociażby było głupie i niesprawiedliwe — jedynie dlatego tylko, że jest prawem.

Taka była teorja; w praktyce posunięto się dalej.

Znaną jest historja demonstracji, którą zrobili studenci moskiewskiego uniwersytetu. Ustawa, która wzbudziła taką opozycję studentów w Petersburgu. została zastosowaną i do studentów Moskwy. Ci ostatni chcieli posłać deputację z prośbą do cara, a gdy profesorowie obaczyli kierunek, jaki wzięła sprawa, opuścili studentów. Źle przyjęci przez władze, opuszczeni przez profesorów, studenci zebrali się przed domem jenerał-gubernatora, prosząc o pozwolenie posłania do niego deputacji. Prośbę przyjęto za bunt i posłano po wojsko. Ściśnięci przez żandarmerję konną i pieszą, napadnięci przez tłum, który policja podburzyła, mówiąc że to są Polacy

i szlachta, domagająca się powrotu do dawnego stanu poddaństwa chłopów, studenci zostali poranieni, aresztowani i wrzuceni do więzienia. Krew tych studentów była pierwszą krwią wylaną w starej stolicy od roku 1812.

Senat uniwersytecki dla usunięcia wszelkiego podejrzenia, iż przyjmował udział w demonstracji, pospieszył przedstawić ministerstwu memorjał, w którym denuncjował piśmiennictwo, społeczność, nawet jenerał-gubernatora moskiewskiego i całą odpowiedzialność zrzucił na studentów, a to w chwili, gdy prawie połowa uniwersytetu była w więzieniu. Memorjał ten chowano w wielkim sekrecie i wydrukowano tylko w pięciu egzemplarzach, tak że w samej Moskwie nie wielu wiedziało o tem.

Petersburg był zadowolony z Moskwy. Minister podziękował profesorom za ich gorliwość i dał rozkaz cenzurze nie pozwalać krytykować nowego katechizmu o „biernem posłuszeństwie". Postanowiono, mając takie poparcie profesorów, wybudować w Moskwie wielką fortecę wstecznego patrjotyzmu.

Znajdował się tam człowiek, który zyskał reputację liberała, będąc redaktorem dziennika, w epoce pierwszego obudzenia się swobody słowa w Moskwie, po śmierci Mikołaja. Syn więziennego dozorcy, wychowany za pieniądze kradzione przez ojca na wikcie biednych aresztantów, przywykły od dzieciństwa patrzeć spokojnem okiem na cierpienia ludzkie, posiadając przytem straszną dozę miłości własnej i kierując się tylko osobistemi widokami, z niemiecką doktrynerją, Katków, zaczął głosić wyższość angielskich instytucji i szacunek dla prawa wolności i równości. Tłumacząc artykuły z Westminster-Rewiew, które podawał za swoje, Katków uchodził za umiarkowanego liberała, admiratora angielskiego prawodawstwa, za ucznia szkoły niemieckiej i lubownika wszystkiego, co było niemieckie.

Z redaktora przeglądu miesięcznego, Katków stał się wkrótce redaktorem Moskowskich Wiedomosti, półurzędowego organu, wydawanego pod opieką uniwersytetu. W dzienniku Katków grał dalej tę samą rolę, mówiąc ciągle z głęboką pogardą o społeczności moskiewskiej, ucząc według książki Gneista szacunku dla Anglii i ciągle napadając na młodzież petersburską. Ta rola wujaszka z komedji wydała się śmieszną w literaturze i była przyczyną polemiki, w której Katków po raz pierwszy pokazał, do czego był zdolnym. Na sarkazmy odpowiadał obwinieniami, na żarty donosami i wprost, bez ceremonii, napisał, że młodzież siedząca w więzieniu za proklamacje, była moralnie zespolona z podpalaczami Petersburga. Katków zwrócił przez to uwagę rządu na siebie. Od tej chwili anglomanja jego zbladła. Przestawszy kochać się w „równości" i szanować prawa osobiste każdego człowieka, Katków rozpoczął zajadłą wojnę przeciwko Polsce. Człowiek ten wziął na siebie obowiązek uniewinniania najokropniejszych środków, których używała administracja moskiewska, i głośno objawił, że są zdrajcami ojczyzny i cara wszyscy ci, co nie zapatrują się na te rzeczy z tegoż punktu widzenia, palcem ukazując na mało gorliwych i podejrzanych. Każdy krzyk niezadowolenia, który odzywał się przeciwko podobnemu postępowaniu publicystyki, był nowym bodźcem dla redakcji, a niczem niezachwiana zuchwałość odpowiedzi wskazywała, że dziennik ma pewne zabezpieczenie, pewne oparcie.

Przez Katkowa nie mówiło gorące przekonanie, silna namiętność lub fanatyczna miłość ojczyzny. Bynajmniej. Uczucia te mogłyby usprawiedliwić do pewnego stopnia postępowanie jego. Lecz my znamy go osobiście i wiemy, że ludzkie uczucia nie ogrzewały nigdy tego skrzepłego serca, tego zimnego rozsądku, ze spokojnością prosektora przewracajacego wnętrzności człowieka, którego nienawidził za to, że tamten był wyższym od niego.

Społeczność moskiewska była z początku zdziwioną, czytając Moskowskija Wiedomosti, bo nigdy jeszcze nie zdarzyło się nic podobnego. Za ostatnich dni panowania swego, Mikołaj przymusił wszystkich do milczenia, lecz nigdy nie udało mu się zmusić do mówienia tak, jak sobie tego życzył. Wtedy niszczono książki i autorów. Aleksander II. szczęśliwszy od ojca, bo pochwalić się może, że piśmiennictwo moskiewskie stało się pomocnikiem jego tajnej policji. Wreszcie Mikołaj nie chciał tego. Oklaski gniewały go, bo uważał siebie wyższym nad opinję prostych śmiertelników. On nie dbał, czy byli kontenci z jego rozporządzeń, byle rozkazy te były wypełniane święcie i byle nikt nie okazał nieukontentowania, bo dla niego ideałem porządku było bierne posłuszeństwo koszar wojskowych. Za panowania Mikołaja mówić było niebezpiecznie, za to milczeć można było bezkarnie; nikt nie ośmielał się powiedzieć: ten człowiek milczy nie dlatego, że nie ma co powiedzieć, lecz dlatego, że ukrywa coś, lub ten człowiek jest smutny — bo Polaków żałuje... Panowaniu Aleksandra II. należy się zaszczyt wprowadzenia do administracji obowiązku zachowania popularności jego, jakimibądź środkami i zaprowadzenia literatury szpiegostwa i ubóstwiania caryzmu. Od tego czasu w Moskwie piśmiennictwo krajowe lepiej służy rządowi jak żandarmi, a poziom moralny ogółu zniżył się okropnie, dzięki ciągłym głoszeniom o konieczności eksterminacyjnej polityki w Polsce, filozofji ślepego posłuszeństwa i niewolniczości dla rządu.

Do okropności, które się działy w Polsce, na Litwie i Rusi, najwięcej się przyczyniły Moskowskija Wiedomosti. Rząd zaczynał próbować dzikich egzekucji i konfiskat, rozkazał prześladować tych co śpiewali hymny i aresztować kobiety za noszenie żałoby po zabitych mężach i ojcach. Następnie powstrzymał się, szpiegując i słuchając, jakie to wrażenie zrobi na publiczności moskiewskiej. Społeczność ta miała dzikie instynkta i tygrysie zachcianki, lecz nikt nie miał odwagi ich wypowiedzieć. W braku moralności, i ten wstyd był dobrym.

W tej chwili wahania się, dziennik mający za sobą reputację oddawna zyskaną, a po za nią urok uniwersytetu i opinji konstytucyjnych, podjął się bronienia najokropniejszych zbrodni spełnianych na Polsce, najohydniejszych i najbezużyteczniejszych egzekucji. Zwierzęce namiętności społeczności moskiewskiej natychmiast podniosły głowę, i rząd uszczęśliwiony podwoił *energję;* — mógł wszystko robić co chciał, podtrzymywany przez organ Katkowa, przez Północną pszczołę i przez Gołos, którym powodzenie Katkowa spać nie dawało i które starały się prześcignąć go w nienawiści ku krwią oblanej Polsce. Wszelka opozycja przeciwko Katkowowi była niemożliwą, bo straszną bronią Moskowskich Wiedomostej bronią, która wstrzymywała nie tylko redaktorów, lecz i cenzorów — był donos.

Dziennik „Wremia" redagowany przez Dostojewskiego, umieścił artykuł o Polsce, w którym kilka po ludzku wypowiedzianych myśli byłyby przeszły niepostrzeżenie. Katków zadenuncjonował to natychmiast, i dziennik został zawieszony. „Ależ to nie nazywa się piśmiennictwem", odezwał się dziennik jeden na zarzuty Moskowskich wiedomostiej, która go denuncjowała, „to nie dyskusja, ale proces kryminalny, który wy nam wytaczacie!..." — „Piśmiennictwo!— odpowiedział Katkow — dyskusje — literackie!... My nie zajmujemy się takiemi bagatelami! My wyświecamy sprawy, które nas interesują, my nie mamy czasu zajmować się waszą literaturą, lecz my się nią zajmiemy i sądzimy, że przypatrzenie się bliżej temu co dzieje w petersburskim dziennikarstwie, nie nie będzie zbytecznem. My zajmiemy się służeniem dobrej sprawie i zdemaskujemy nieprzyjaciół, przeszkadzających wypełnianiu planów rządu."

Wieść o nominacji okropnego Murawiewa, znanego w Moskwie ze złodziejstwa, zdzierstwa i małoduszności, wiadomości o pierwszych jego czynach na Litwie, krwawe saturnalje, które tam rozpoczął, obudziły resztki sumienia u niektórych, i wstrząsnęły sercami wielu ludzi. Żeby uspokoić to ludzkie uczucie, Katków natychmiast napisał: „Moskwa nie zapomni nigdy wielkich usług, które oddaje jej ten człowiek wielki. Moskwa sławić będzie ludzi, którzy pracują bez wykrętów wśród przestępców i potwarców. Ci ludzie powinni wiedzieć, że cała Moskwa poprze ich sympatją swoją — jest to bowiem jej obowiązek. Tak, cała Rosja powinna stanąć obok tych ludzi, którzy nie cofają się przed najokropniejszymi środkami dla zbawienia ojczyzny. Ponieważ jest powstanie — musimy je zdusić. Bylibyśmy zdrajcami i podłymi, gdybyśmy odmówili spełnienia naszego obowiązku. Nikt nie ośmieli się zrobić wyrzutu zwycięzcy, pokrytemu laurami, za to, że był krwi chciwym. Dygnitarz, który przedsiębierze energiczne środki, nie może być obwiniony o okrucieńwo.

Artykuł podobał się wszystkim, bo uspakajał sumienia. Arcykapłan moskiewskiego dziennikarstwa rozgrzeszał całą społeczność. Literaci, członkowie dżokej klubu, złota młodzież... z siwemi włosami, urządzili bankiet dla Katkowa, na którym po raz pierwszy wniesiono toast na cześć Murawjewa i Katkowa razem.

Podczas najstraszniejszych dni francuskiej rewolucji nigdy nie zdarzało się nic podobnego... Nie znajdziemy tam bankietów na cześć Fouquier Tinvilla, lub Carriera i Fouché'go.

Przykład dany przez Moskwę, znalazł naśladowców w Petersburgu i na prowincji. Było to coś okropnego, zastraszającego patrzeć jak szlachta, arystokracja, kupiectwo, cała cywilizowana społeczność siedmdziesięcio miljonowego państwa, bez wyjątku narodowości, mężczyźni i kobiety, słali telegramy dziękczynne, adresy pozdrawiające, obrazy świętych dla okropnych ludzi, dla katów, co nie zakasując nawet rękawów, broczyli ręce we krwi, co śmiejąc się patrzali na konwulsyjne drgania wieszanych, dla ludzi co nie narażając się na polu bitwy uśmierzali kraj szubienicą, bagnetem, konfiskatą i najstrasliwszymi moralnymi torturami.

Moskowskija Wiedomosti była to rana cu-

chnąca, lecz wojna polska pokazała, że w całym organizmie moskiewskim krew jest zepsuta. Agitacja urządzona na prowincji przez ministra spraw wewnętrznych odkryła, jak dzikiem jest jeszcze plemię moskiewskie i jak głęboko zdemoralizowane. Mały tyran wsi każdej, admirował siebie w osobie Murawjewa i wdzięczny był Katkowowi, że mógł się tem pochwalić. Katków dał inicjatywę pierwszemu słowu, pociągnął za sobą słabych, uspokoił wahania się niepewnych, którzy bez zachęty jego nigdyby się byli nie zdobyli na odwagę należenia do tej uczty kanibalskiej. Wielu nawet ludzi przyjęło udział w tej demonstracji silnego przeciw słabemu, w głębokiem przekonaniu, że wypełniają patrjotyczny obowiązek, bo ich pociągnął za sobą jedyny dziennik, który czytali wówczas na prowincji.

Część rządu spostrzegła nareszcie, że zadaleko zaszła; lecz już było zapóźno. Ta umiarkowana część nic już zrobić nie mogła; wszystko co powstrzymywało strumień, było złamane, zwalone przez partję czynu, mającą na czele Moskowskija wiedomosti i Murawjewa. Wielki książe Konstanty był niezadowolony z tego co się działo na Litwie, profesor Katków rzuca na niego słowem „zdrada“ i brat carski musiał pojechać do wód niemieckich, ażeby pozbyć się choroby, która mu nie pozwalała patrzeć na sprawy polskie tak jak Katków patrzał na nie.

Kijowski jenerał-gubernator, Anienkow, człowiek nie słynący wcale ze słodyczy i ludzkości, nie okazywał jednak tyle artystycznej żarliwości i ostentacji w prześladowaniach jak Murawjew. Gazeta Katkowa ogłosiła go podejrzanym, i od tej chwili każdy krok jego zaczął być śledzony. Student kijowskiego uniwersytetu, Romuald Olszański, utrzymujący szkołę konnej jazdy, wstąpił do szeregów powstańczych. Wziętego do niewoli, Anienkow kazał sądzić sądowi wojennemu, a ten go skazał na całe życie do katorżnych robót. Po wyroku tym, marszałek szlachty wyznaczony przez rząd, nazwiskiem Butowicz i profesor Józefowicz, do których nic to nie należało, zaprotestowali, wymagając od generał-gubernatora kary śmierci. Anienkow, którego nastraszyli, że Moskowskija Wiedomosti pozbawią go zaufania w Petersburgu, zawiesił sprawę, kazał ją rozpatrzyć na nowo i skazał Olszańskiego na rozstrzelanie w kijowskiej fortecy.

Wyjazd W. księcia za granicę, otworzył oczy nietylko Gołowninowi, z którym Konstanty był w przyjaźnych stosunkach, lecz także Wałujewowi i innym. Im się chciało wepchnąć furję patrjotyczną w ramki, przygotowane w ich kancelarjach, lecz jak powiedzieliśmy wyżej, maszyna puszczona przez nich w ruch, już nie poddawała się ich kierownictwu. Zaczęła się walka (risum teneatis!) między światem ministerjalnym z jednej strony, a piśmiennictwem rządowem z drugiej. Moskowskija wiedomosti przyjęły walkę i podwoiły pioruny. Nie mogąc wprost napadać na ministrów, Katków napadł na ich organa „Siewiernaja Poczta“ i „Gołos“. Niezmiernie komiczny wypadek oznaczył kulminacyjny punkt znaczenia Moskiewskich Wiedomostij. Minister oświaty chciał ogłosić w „Gołosie“ usprawiedliwiające sprawozdanie z admistracji wielkiego księcia w Polsce. Cenzor nie chciał przepuścić artykułu. Kazano mu powiedzieć, że artykuł pochodzi od ministra, a zatem od jego bezpośredniego naczelnika. Na to cenzor odpowiedział, że gotów dać pozwolenie na wydrukowanie, jeżeli minister weźmie na siebie odpowiedzialność „gdyż, dodał, w artykule są wzmianki i aluzje skierowane przeciwko Moskowskim wiedomostiam, a one mnie za to zadenuncjują i ja stracę posadę.“

Katków tym czasem karcił na prawo i na lewo niepokornych i ciągle wyszukiwał zdrajców. Jednego dnia napomknął, że liberalna partja rządowa zdradza tajemnice stanu korespondentowi „Timesa“ i nazwał nieprzyjaciołmi kraju i podejrzanymi Suwarowa i jeszcze kilku innych, którzy nie chcieli należeć do składki, zbieranej dla ofiarowania katowi Litwy obrazu archanioła Michała. Myśl tego podarunku podjęły kobiety moskiewskiej szlachty, te wilczyce bez mleka i bez Romulusa i Remusa!

Po tych świetnych zwycięstwach Katkow zrobił jeszcze kilka kroków naprzód. Lecz dalej iść nie mógł; Mazaniellowi dziennikarstwa głowa się kręciła: był w gorączce, nie mogąc podołać takiej wielkości i takiej sile. Rzucał się na wszystko, co choć zdala nosiło ślad niezawisłości, z tą samą zajadłością, z tąż samą nienawiścią, jaka charakteryzowała go, gdy wyrzucał rządowi, że nie karał śmiercią dzieci czternasto i piętnasto-letnich wziętych do niewoli w czasie polskiego powstania, lub gdy chłopom nadano prawo być sądzonymi przez chłopów. Katków trząsł się jak w febrze przy najlżejszym wietrzyku swobody, wiejącym z Australji lub z Argentyńskiej rzeczypospolitej.

Zebrał się skromny sejm w Finlandji. Mówią tam o potrzebie swobody druku, o zniesieniu kary śmierci, o interesach i potrzebach miejscowych. Moskowskija Wiedomosti, śledzą każdy wniosek kociemi oczyma, mówią o sejmie z pianą wściekłości na ustach i straszą rząd, starając się przedstawić wszystko w jak najgorszem świetle.

Niektórzy pisarze ruscy w Kijowie, chcieli wydrukować kilka książek po rusku. „Jest to intryga polska – wrzasnęły Wiedomosti; - oni chcą się oddzielić! Mówią na to Katkowowi ze wszystkich stron: „Czy wiesz pan, że w teraźniejszym czasie donosen swoim, prowadzisz pan tych ludzi wprost do kazamatów? — To mi wszystko jedno – odpowiada stoicko Katków.

Słabe głosy swobody odzywały się w skromnem, cichem i nieszczęsnem ciele prawodawczem w Berlinie... Moskowskija Wiedomosti, ten cerber międzynarodowy, natychmiast zaczyna szczekać. Samo przypuszczenie, że demokraci duńscy popchną rząd do energicznego stawiania się nieprzyjaciołom, wyzywa pioruny Katkowa na duńską demokrację.

O innych dziennikach nie ma co mówić. „Petersburskie Wiedomosti“, redagowane przez Korsza, przyjaciela Granowskiego, Bielińskiego, Bakunina, wszelkiemi siłami starały się nie zejść z uczciwej drogi. Napróżno! Rząd kasował większą częś artykułów, zmuszając umieszczać pisane przez ajentów swoich. „Północna Pszczoła“ „Gołos“ i Siewiernaja Poczta“ starały się nieustannie stanąć na *wysokości* Moskowskich Wiedomostiej. Słowianofilski dziennik „Moskwa“ w kwestji polskiej niczem się nie różnił od organu Katkowa. Na chorągwi dziennika tego napisano: „szacunek dla narodowości i posłuszeństwo dla woli ludu;“ a jednak przy pierwszem porwaniu się do broni ludu słowiańskiego, szukającego swobody, dziennik ten z przykładną niekonsekwencją stanął obok petersburgskich Niemców i obok Katkowa. Nareszcie wspomnijmy o „Kałokole“, redagowanym za granicą przez Herzena. Dla tego, że zapatrywanie jego na sprawy polskie było ludzkie, redaktor stracił popularność między rodakami i musiał umilknąć, czekając dopóki światło nie zwycięży ćmy; ale doczekał się śmierci, a nie doczekał żeby jego ziomkowie uderzywszy się w piersi, powiedzieli: „mea culpa“.

Obraz nasz skończony. Zapytacie może gdzież jest piśmiennictwo moskiewskie? gdzie są nowe dzieła, gdzie są talenta, gdzie są poeci, romantycy, uczeni tego narodu, który chce stanąć na świeczniku słowiańszczyzny? Za panowania Aleksandra II., tego tam wszystkiego nie ma. Ani jedna zdolność nowa nie wypłynęła z tej kałuży krwi i błota. Nawet ci, co niegdyś za Mikołaja zasłynęli, pobladli, zwalali się, stali się podobnymi do innych. O jakichkolwiek pracach znakomitych, o nowych książkach nie słychać, bo dziennikarstwo i dziennikarstwo tak podłe, że podlejszego być nie może, zaabsorbowało wszystko. Moskale zajmują się tylko tłumaczeniami. Trwoga duszy nie daje odpoczynku, odbiera spokój, potrzebny do pracy samodzielnej. Oczekiwane reform, ruch wsteczny, ciągłe obietnice rządu nadania nowych praw literaturze, powstanie polskie, potem wojna turecka, nareszcie walka z nihilistami podtrzymują ciągle ten stan chorobliwy.

W obszernych karawanserajach pism perjodycznych moskiewskich nie znajdujemy kompletnie nic godnego uwagi. Najznakomitszy pisarz, Iwan Turgienief, który zyskał piękne i niezawisłe miejsce w moskiewskiem piśmiennictwie, którego szkice niewolników w obszernem tem carstwie wiele dobrego przyniosły, pchnięty przez brudny potok płynący koło niego w pierwszej powieści napisanej za panowania Aleksandra II. napisał poprostu donos na całą młodzież. Dostojewski uwolniony z ciężkich robot, dokąd posłał go ojciec Aleksandra, po powrocie napisał „Dom umarłych“, straszne opowiadanie życia wśród katorżników, zbójców i złodziei, nakreślone artystycznem piórem, które może służyć świadectwem carmen horendum, panowania tyranów. Obok tego weterana piśmiennictwa epoki Mikołaja, stoi jeszcze Ostrowski, pisarz tejże epoki, który za panowania Aleksandra napisał tylko dramat „Burza“. W dramacie tym autor zstępuje w kryjówki narodowego życia moskiewskiego, którego nie tknęła ręka europejskiej cywilizacji, i rzuca światło na byt moskiewskiej kobiety i duszę jej zgnębioną nielitościwem, na wpół dzikiem życiem familijnem i patrjarchalnem. We wszystkich dramatach jego nie ma ani jednej osobistości, na której dusza spocząćby mogła; bohaterowie jego są to ojcowie rodzin nigdy nie wytrzeźwiający się, złodzieje żegnający się przed kradzieżą, łotry wszelkiego rodzaju, tyrani w swem kółku, a pełzający przed wyższymi i silniejszymi.

Wczytując się i wpatrując w życie wszystkich klas moskiewskiego społeczeństwa z artystyczną okropnością przedstawionych przez Ostrowskiego, ze strachem człowiek zapytuje się: a gdzież nareszcie znajduje się tam ludzki element? Wierzchołki czepiające się steru rządu poznaliśmy wyżej: spód przedstawiają nam w całej swej strasznej prawdzie Ostrowski i Dostojewski. Jak w jednych tak i w drugich nie ma zadatku życia, a jednak losy skuły nieszczęśliwą naszą ojczyznę z takiem zgniłem cielskiem!...

Dr. Jan Stella Sawicki.

DANIEL ROCHAT.

Paryż 18. lutego.

Victorien Sardou doczekał się po raz pierwszy, jako akademik, zupełnego *fiasca* na deskach Komedji Francuskiej.

Odwagi temu znakomitemu komedjopisarzowi odmówić nie można. Dawniej wykazał ją w Rabagasie, dziś, wśród walk w łonie parlamentu i narodu, wyprowadza na scenę kwestję ślubów cywilnych, już i bez tego, obok sprawy rozwodów jątrzącą wszystkie umysły. Sardou nietylko ze swym Danielem Rochat podsyca to zarzewie namiętności, lecz czyni więcej jeszcze. Rzuca w oczy pogardę panującym obecnie we Francji przekonamiom, występuje do walki, staje po stronie reakcji.

Lecz do tego dzieła siły mu nie wystarczyły.

Bohater jego jest zbyt drobny i słaby, żeby był wiernem odbiciem żyjących Rochatów, przeciwników ślubu kościelnego. Przedmiot jego miłości, Lea występująca w roli katechizującej, zapatruje się na małżeństwo, ze stanowiska wcale nie kobiecego. Przytem jest protestantką, co jej jeszcze więcej siły dramatycznej ujmuje.

Daniel i Lea nie są typami reprezentującymi rzeczywistych bojowników z obu walczących obozów.

W paru słowach treść sztuki jest taka. Daniel i Lea kochają się szalenie. Mer daje im ślub, więc w obec prawa małżeństwo jest zawartem. Lecz Rochat wzbrania się uświęcić swój ślub kościelnemi węzły — zasady nie pozwalają mu pójść do księdza. Ztąd kolizja i małżonkowie rozchodzą się pierwszego wieczora po ślubie.

Sprawa Daniela Rochat, tak wielką wywołała wrzawę w świecie cywilizowanym, że sądzimy, iż zainteresuje czytelników „Tygodnia“ dosłowne tłumaczenie, najwybitniejszego ustępu sztuki, które podajemy. W tym djalogu streszcza się cała tendencja Sardou.

Oto i ów wyjątek.

Lea: (sama potem Daniel stoi przed stolikiem i przygotowuje się do pisania, przedtem jednak bierze do rąk list Daniela i czyta): Czyż to jest możliwem, Leo, by dwie istoty kochające się, zaszły tak daleko, że aż pisać muszą do siebie w dniu takim? Rzeczywiście, zapytuję sam siebie: czy to jest możliwem? W tej godzinie, najdroższy skarbie mego życia, powinienem cię mieć w mych ramionach — i, w tej samej godzinie jesteśmy rozdzieleni sporem w sprawie najszaleńszej. Mieszkamy obok siebie; pomiędzy domem, w którym ja mieszkam a twoim znajduje się tylko mały strumyk, zarośla obu brzegów dotykają siebie, a my — jesteśmy oddaleni od siebie o mil setki! Przysięgam ci Leo, jedno serdeczne słowo złączy nas w tej chwili. Przyjmij mnie dzisiaj wieczór przez jedną minutkę, jedną sekundę, aby nasz pierwszy dzień ślubny nie minął w tak srogiem rozłączeniu. Byłem zanadto gwałtowny, zirytowany, może nawet ubliżający, przyznaję to i oskarżam sam siebie; zapomnij o wszystkiem, proszę cię o to, pozwól mi zasłużyć na przebaczenie i dowieść, że w mem mało nabożnem sercu jest jeden obraz święty, twój, i jedna religia wyższa nad wszelką wątpliwość, — moja miłość ku tobie.

(W chwili, gdy Lea kończy czytanie listu, otwierają się drzwi z lewej strony i wchodzi Daniel niespostrzeżony. Szmer nareszcie zwraca jej uwagę. Bierze za pióro i woła nie odwracając się).

Lea: Czy to ty Klaudyno?

Daniel: (łagodnie) Nie, Leo, to ja.

Lea: (przerażona) Pan — tutaj?

Daniel: Piszesz do mnie?

Lea: Tak w samej rzeczy- Ja...

Daniel: A więc dobrze zrobiłem, żem tu przyszedł, aby z tobą pogawędzić, zamiast korespondować z oddalenia. Gdym przeczytał tych kilka zimnych słów, któremi odmówiłaś mi spotkania, powziąłem stały zamiar. Przeskoczyłem strumień. Światła na wszystkich piętrach przekonały mię, iż wszyscy udali sie na spoczynek, prędko przebiegłem przedsionek — znałem dobrze drogę i prosto szedłem do celu. Nikt mnie nie widział. Zresztą cóż może być naturalniejszego nad moją obecność tu, u ciebie! Czyż to nie jest miejsce, które mi się należy?

Lea: A więc to ci się także naturalnem wydaje Danielu, że twoi przyjaciele, tam, na dole, będą ten krok oceniać dowolnie? (Idzie do kominka, aby zadzwonić.)

Daniel: (zastępuje jej drogę): Co chcesz czynić?

Lea: Dzwonić.

Daniel: Na twych domowników, aby się ze mną pożegnać, w ich oczach?

Lea: Danielu, przecież mię nie uważasz za zdolną do tego. Chcę poprosić ciotkę i siostrę, aby tu przyszły, — więcej nic.

Daniel: One śpią. Pocóż je budzić?

Lea: Przecież nie spodziewasz się, abym dalej o tej porze prowadziła rozmowę.

Daniel: I dlaczegoż nie, najdroższa moja Leo!

Lea: Danielu, zbyt dobrze cię rozumiem. Powiedziałeś sobie: niech się dowiedzą, że byłem tutaj, to wystarczy, aby Lea jutro zmuszoną była pójść ze mną. Przyznaj, że ta nadzieja sprowadziła cię tutaj.

Daniel: Ja mam nadzieję na coś więcej, Leo.

Lea: Odejdź; co tu chcesz czynić, jest nielojalnem. Idź i nie doprowadzaj do końca niegodnego postępowania, nie kompromituj dzisiaj tej, która jutro będzie twą żoną

Daniel: Miałażby moja obecność pozbawiać cię czci? Droga Leo, prędzej powinnoby było to zadziwiać, gdybym tu nie był wcale.

Lea: A, jakiem prawem? Jesteś więcej niż narzeczonym, ale nie małżonkiem. Jeszcze raz powiadam ci, odejdź Danielu.

Daniel: (łagodnie przytłumionym głosem): Niemasz prawa okradać mię z miłości twojej, która jest moją własnością.

Lea: Będę wołała pomocy! (Idzie ku swemu pokojowi, lecz zatrzymuje się przed drzwiami.) Idź Danielu proszę cię o to!

Daniel: Nie, nie odejdę, zanim się nie dowiem, czy mię rzeczywiście kochasz, jak to powiadasz.

Lea: Nic ci nie przeszkadza w przekonaniu się o tem. Dom Boży jest tam, otworzy się dla nas nawet wśród nocy.

Daniel: Daj pokój z kościołem! Nie szukajmy nieba tak daleko od nas. Zostańmy tutaj, droga duszo, z naszą miłością, do której jedynie ja chcę się modlić przez całe życie...

Lea: (przerywając mu) Nie bluźn, mój Danielu! Niemasz miłości bez Boga.

Daniel: O! jest — ty widzisz — bo ja cię kocham.

Lea: Lecz grzesznie, to właśnie mnie boli.

Daniel: Mnie więcej, o! sto razy więcej! Czyż to jest miłością, ten zimny rozum, kalkulujący co dozwolonem jest a co nie, co jutro, co teraz i za taką a taką cenę jest do otrzymania, ten rozum, który pomiędzy nami a naszem szczęściem stawia ciągle przerażający obraz swego zimnego Boga? Czyż moja droga Lea myśli o takim Bogu, jeśli prawdziwie kocha? Ach, tylko ten Bóg jest jej miłością. Moja miłość jest prawdziwą, jedyną miłością!

Lea: Bez nadziei na inne życie, gdzie się dusze spotykają?

Daniel: Co nam na tem zależy, gdy to życie daje nam wszystkie rozkosze.

Lea: Jakie rozkosze? — Może te, których koniec widzi się na samym początku? Wolałabym zgnieść me serce i wyrwać je z piersi, gdyby to było wszystkiem, czego od niego wymagać mogę.

Daniel: To wszystko? To, tak mało? — Miałem racją, ty mnie nie kochasz.

Lea: Nie, nie kocham ciebie — nie kocham człowieka, któremu wystarcza ziemskie szczęście. Kocha się, umiera i już wszystko skończone? Mnie nie wystarcza całe życie miłości, chcę mieć wieczność miłości — albo nic I gdybym tak nie myślała, ty niewdzięczny, musiałbyś tego żądać odemnie, — — Nie kocham ciebie, a chciałabym mieć cię przy sobie zawsze, zawsze, wiecznie! — Ośmielaj się mówić przy mnie o miłości, która się przedemną kończy, bo ja jestem nieśmiertelną! Porównaj twą marną namiętność z moją skrzydlatą czułością i...

Daniel: I ty odpychasz teraźniejszość dla wieczności istniejącej tylko w twych marzeniach.

Lea: Lecz która żyje we mnie i bez której ja sama nie mogłabym żyć wcale.

Daniel (biorąc ją w ramiona): Marzycielko!

Lea: Mój Danielu! Daj się przekonać, daj się poruszyć! (klęka przed nim) Wierz mi, ja cię o to proszę! Pozwól abym cię kochała, według mej wiary, według mego uczucia, pozwól cię kochać w Bogu! On mię postawił na twej drodze, abym cię sprowadziła do jego miłości, przez moją. Nie bądź niewdzięcznym! Jeśli teraz jestem tu, przed tobą, to Jemu to zawdzięczasz. Oddaj Jemu i mnie cześć! Jestem tego godną. Przecież ja ciebie chcę tak bardzo kochać. I to będzie dobre, dobre i wielkie i czyste. I czegoż żądam od ciebie za to? Tak mało? wierzyć w twą własną duszę... Czyżby to było tak trudnem? Przecież ty masz duszę, powiedz, ty masz przecież duszę!...

Daniel: (patrząc jej w oczy) Dwie! Twoją i moją!

Lea: Naszą! Powiedz, że wierzysz w Boga! Trochę! tylko troszeczkę!

Daniel: Wierzę w Boga, który mieszka w twem sercu, w niebie oczu twoich.

Lea: Nie, nie w tego! W innego, prawdziwego!

Daniel (chcąc pocałować ją w usta): Tu jest prawdziwy!

Lea: (wyrywając mu się) O Demonie! ty jesteś mą zgubą! Odejdź odemnie!

Daniel: (podnosi się) Leo!

Lea: Odejdź! Ja nie chcę! To jest za nędzne, szorstkie, tak mi rozum mój niszczyć, aby mię ofiarować twej woli demonicznej, i pozbawić wiary.

Danial: Tyś sama demonem, który kusi i ucieka odemnie, który skazuje mnie na męczarnie, który każe mi patrzeć ciągle na to, jak mi z rąk ucieka.

Lea: Więc daj mi nieszczęsny tę radość, abym była twoją, bez wyrzutów sumienia. Nic więcej nie żądam. Pomóż mi nareszcie! Pomóż!

Daniel: A gdybym chciał tego — chciał w tej godzinie!

Lea (z okrzykiem radości): Chcesz tego! (spieszy do drzwi frontowych, których zasłonę podnosi; widać park księżycem oświetlony) Dobrze! Widzisz to światełko tam, na dole? To u pastora Clarke. Przejdziemy przez park i powrócę ztamtąd jako twoja żona Chodź, chodź prędko!

Daniel: A więc ciągle jeszcze! ten dom Boży!

Lea: A! ten człowiek! On, którego kocha, który ma trzy kroki do zrobienia, dwa słowa do wysłuchania, aby mię ujrzeć w swych ramionach — on waha się, wzbrania się, on, który przed chwilą wołał: do ciebie się modlę!

Daniel: Ubóstwiam cię do szaleństwa, ty wiesz o tem nadto dobrze ty, która mię od zmysłów odprowadzasz twą wyrachowaną pokusą, najokrutniejsza z kobiet! Gorzej nawet, bo czynisz to z bigoterji i świętoszkostwa!

Lea: To dla mego Boga! Za Niego ja walczę! Pójdź do Niego, a będę twoją! Chodź ofiaro mej miłości, niewolniku mego serca, przyjmij tę porażkę i pójdź ze mną! Gwiazdy patrzą na nas, szkli się powierzchnia błękitnego jeziora, wonie napełniają powietrze, wszystko jest świątecznie przygotowanem. Chodźże! Nie pójdziesz?

Daniel: Tak, ale... będziemy sami.

Lea: Zupełnie sami; ty i ja; my sami.

Daniel: I nikt z nami nie pójdzie?

Lea: Wszyscy śpią.

Daniel: O Leo! że ty mię do tego doprowadzasz.

Lea: A więc?

Daniel: Więc idźmy!

Lea: (rzuca się w jego objęcia): O mój drogi, mój kochanku, mężu, królu, panie! Chodź (ciągnie go za sobą).

Daniel: (zatrzymuje ją na progu): Lecz jeszcze rzecz jedna!

Lea: Jeszcze!?

Daniel: Przysięgnij naprzód, przysięgnij!

Lea: Na co!

Daniel: Na to, że co uczynię, tylko dla ciebie jednej będzie, nikt się o tem nie dowie, tylko pastor i ty.

Lea: Nikt!

Daniel: Nikt — przysięgnij na to — nawet gdyby cię o to pytano!

Lea: (żywo) Miałażbym się zaprzeć?

Daniel: Przynajmniej zamilczeć.

Lea: (wyrywając się) O! co za hańba!

Daniel: Leo!

Lea: Miałabym się na to zgodzić! Ja...

Daniel: Słuchaj.

Lea: Miałabym się kryć z małżeństwem jakoby ze zbrodnią?

Daniel: Lecz...

Lea: Miałabym się zgodzić na to kłamstwo, na to tchórzostwo... Ja! Nigdy! Uważasz, nigdy! Zapieraj się swej wiary, ile ci się podoba... ja się mojej wiecznie trzymać będę. Jestem chrześcianką i nie wstydzę się tego wcale! Mnie to zaszczyt przynosi!

Daniel: A więc pozwól mi...

Lea: (nie słuchając go): O jak to pogardy godne, jak ohydne! Leżę u nóg twoich! Błagam cię! Płaczę! Żądam tylko porywu serca, oddania się jednej chwili i ty śmiesz targować się ze mną. W mojem objęciu myślisz o możliwej zgodzie między twą miłością a twą szaloną bezbożnością, między twą żoną a twą popularnością niezdrową.. między tłumem a mną! Lecz odejdź lepiej, to lepsze, zapewniam ciebie, odejdź, nie wiem, co ci jeszcze powiedzieć mogę!

Daniel: A więc nie! Nic nie powiedziałem! Niczego nie żądam od ciebie. Chodź...

Lea: Już nie chcę więcej!...

Daniel: Leo!

Lea: Już nie chcę więcej, byłam szaloną, gdym przyjęła ślub tajemny, którego się wyrzec możesz każdej chwili, albo zamilczeć. Nie, chciałabym go ogłosić, głośno, wszędzie! To tryumf mój, ugiąć cię przed Bogiem. I ty nie chcesz, abym się tym szczyciła? Idź, ty mnie nie znasz! Danielu! słuchaj! Albo z moimi i twoimi przyjaciółmi wejdziesz przez bramę kościelną, w dzień biały... albo, przysięgam ci na Boga, nigdy nie przestąpię tego progu.

Daniel: Uspokój się, proszę ciebie...

Lea: (kładąc rękę na dzwonku, przy kominku): Skończmy raz! — I pomyśl, co uczynię. Zadzwonię — przyjdą — oznajmię, żeś tu przyszedł! Żeś przyszedł zdecydowany na ślub kościelny... Poruszę dom cały i zawołać każę twych świadków. Mr. Clarke da nam ślub wobec tych wszystkich. I uważaj, że jeśli zaprzeczysz temu i obecność twą w inny sposób wytłumaczysz, to w tym tygodniu jeszcze odjadę i nigdy mię więcej nie zobaczysz!

Daniel: (stara się nie dopuścić ją do dzwonienia): Wstrzymaj się!

Lea: (dzwoni): Stało się! Możesz teraz odejść zanim ktokolwiek nadejdzie, możesz przejść przez park niewidziany którędyś tu przyszedł. Wtedy wszystko między nami skończone. Do tego masz prawo. Lecz spiesz się, już idą, a za pięć minut będą wiedzieli o wszystkiem (Daniel waha się przez chwilę. Lea patrzy nań bojaźliwie z radością): Ach więc zostajesz?

Daniel: Złamałaś cały czar, Leo. Do wszystkiego jestem gotów sam z tobą; lecz publicznie przed świadkami!.. Za wiele to wstydu i udawania na moją głowę!

Lea: Więc idziesz!

Daniel: Dla twego honoru.

Lea: Idziesz, idziesz, idziesz?

Daniel: Jutro zgodzisz się na to, czegom dziś od ciebie żądał. A ja uczynię to, com obiecał.

Lea: Obawiaj się Danielu, że nasza miłość jutra oglądać nie będzie.

Daniel: W takim razie musiałaby być umarłą a nigdy nie była bardziej żywą w mojem sercu i twojem.

Lea: Lecz zostań nieszczęsny, zostań!

Daniel: Nie!

Lea: Danielu!

Daniel: Nie. Do jutra duszo moja (wybiega)

Więc sprawa została przewleczoną. Za całusa Léi Daniel był gotów sprzeniewierzyć się swym zasadom, Lea zgodziła się w nocy, pokryjomu, jak zbrodniarka wziąć ślub. I tacy mają zasady reprezentować!

Nie! Teatr nie jest miejscem do rozbierania spraw religijnych. Publiczność nie powinna być do takich walk wciągana, tam gdzie ma wyrok wydać. Sędzia powinien być bezstronnym.

Sztukę wyśmiano i wygwizdano. Pierwsza praca Sardou po objęciu akademickiego krzesła zrobiła zupełne *fiasco*. Nie mogła jej uratować ani świetność stylu, ani sceniczność nadzwyczajna — te wielkie przymioty, wielkiego komedjopisarza.

W. Rz.

KLEMENS BORUTA

przez

W. OKOŃSKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

Innym historykom pozostawić muszę zadanie opisania dziejów Nędzy po wydaleniu się z niej Klemensa Boruty w ciągu następnej ćwierci wieku. Bo jakkolwiek przez ten czas spełniło się w tej wsi bardzo wiele ważnych zdarzeń, ja przecież, poświęciwszy pióro jedynie losom tytułowego bohatera, wypadków tych opowiadać nie mogę. Zaledwie wspomnieć mi wypada, że rodzice Kasi pomarli, ona zaś, poślubiwszy wędrownego rymarza, osiadła z nim w połowie ojcowskiej chaty i strzegła tradycji trzymania prosiąt w drugiej części domu; że Klein przeniósł się do innego majątku, a jego miejsce zajął niejaki v. Dornfisch. Nowy rządca od tego zaczął swe panowanie, że Brzostaza niedołęstwo od obowiązków uwolnił. Biedny owczarz wziął bat, Burka, pęk korzeni do koszyków, stare cholewy i butelkę, na czapkę nałożył stary pilśniowy kapelusz, a na ramiona zarzucił kapotę zimową — i wyszedł. Drobny deszczyk wiosenny mżył z zachmurzonego nieba i roztapiał czarną, sapiastą ziemię w grzęskie błoto. Jakkolwiek Brzost miał dawno wypowiedzianą służbę i o zyskaniu środków życia naprzód myślał, znalazłszy się za wrotami, nie wiedział dokładnie, gdzie ma swoje, niezbyt wprawdzie obfite ruchomości złożyć. Sunął się tak powoli, że Burek co chwila go wyprzedzał i przystawał; zmyślny pies widocznie go odgadywał, że jego pan przenosi się bardzo blisko, kiedy tak nogi za sobą wlecze. Jakoż Brzost, zbliżywszy się do chałupy Borutów, stanął, pomyślał chwilę, i wszedł. Było to w półtora roku po zniknięciu Klemensa, a w kilka miesięcy po śmierci jego stryjenki. Gdyby ona żyła, niedługo pozwoliłaby zapewnie spocząć przyjacielowi męża i bratanka. Ale Jan, który wraz z córką tyle potrzebował w chacie przestrzeni, ile jej dwa tapczany ze stołem zajmowały, nie wypędził owczarza.

— To i zostańcie — rzekł — będzie nam w zimie cieplej, a w lecie i na górce prześpicie.

Brzost został, żeby jednak nie ciężyć zbytecznie gospodarzowi, całe dnie przesiadywał i plótł koszyki na drugiej stronie z posagowemi prosiętami Kasi i dopiero wieczorem kładł się na strychu. Skromne rzemiosło dawało drobny zarobek, dwór wszakże nieco mu do życia pomagał. W dworskiej kuchni bowiem była stara pomywaczka, która pamiętała o owczarzu i zawsze z obiadu pozostawiała albo garnuszek krupniku, albo kilka kartofli, albo wreszcie kawałek mięsa, które on dostawszy kryjomo przez okno, krył w cholewę i uciekał do domu. Jakże wtedy wesół biegł za panem Burek! Oblizywał się ciągle i rozganiał po drodze kury, jak wówczas, kiedy Brzost barany dorzynał.

Szedł czas jednostajną koleją, zabierając ofiary. Złożył do grobu Jana Borutę, wydał za mąż Kasię, obdarzył ją dziećmi, tylko Brzosta zdawał się nie tykać. Było to jedyne miłosierdzie, jakiego owczarz od losu doznał. Wszystko go prześladowało, tylko śmierć unikała. Czy był jej za to wdzięcznym?

— Po co mnie — mówił — starą skorupę chowa, kiedy tyle garnków natłukła? Ot i Burek zdechł — a ja nie mogę, chociaż nie ma nawet robaka, dla któregobym był potrzebny.

Po zgonie Burka Brzost widoczniej się postarzał, ale żył i plótł koszyki między prosiętami, których coraz nowe pokolenia przybywały do izby Klemensa. Z biegiem lat wszakże zaczął tracić wzrok i nieraz musiał wołać najstarszego syna Kasi, ażeby mu korzonek w plecionce przeciągnął. Nie pomogły niebieskie okulary z siatką, które mu rymarz sporządził, wzrok gasł nieustannie. Nareszcie owczarz dostał zapalenia oczu i zaniewidział. Rozpłakał się stary serdecznie.

— Teraz, jeśli nie przyjmą do szpitala, połóż się pod płotem i zdechnij jak Burek.

Nie przestawał jednak pleść koszyków, wyręczając się jedynie częściej synem Katarzyny. Właściwie ślepota nie zmniejszyła mu środków do życia. Bo i za koszyki czasem grosz kapnął i pomywaczka ze dworu o starym nie zapomniała i rymarz do miski zaprosił. Więc ciągnął Brzost nędzne życie i nie umierał, chociaż doliczył się lat 80 z okładem.

A gdzież w ciągu tego długiego czasu był i co robił Boruta?

Nadszedł rok 1879. W lipcu obiegła po tarnowickiej kopalni ołowiu smutna wieść, że liczba robotników zostanie zmniejszoną. Jakoż pewnego dnia zarząd górniczy ogłosił im ten smutny wyrok. Przeszło 150 wynędzniałych, zasmolonych mężczyzn, kobiet i dzieci otoczyło wejście do szybów, wiodąc leniwą, ciągle przerywaną rozmowę.

— Pono do węgla potrzebują — mówił jeden.

— Gdzie? — spytało kilka głosów.

— W Budziszynie.

— Chwat! — odezwał się stary robotnik. — W Budziszynie niedługo ludzi kopać będą.

— To w Gliwicach!

— Ot, głupie gadanie — rzekła stara kobieta. — Wczoraj Maciej ztamtąd przyjechał, powiada, że także rozpuszczą.

— Nie będzie roboty, to pójdę do *Obera* i...

— Daj pokój z pięścią, żeby nie ty,

możeby nas nie wygnał — zawołali dwaj górnicy.

— Żeby nie ja, tobyście psom kości wydzierali. Flaki! oni mi będą teraz przymawiać.

— Bo prawda.

— Jak dam w gębę, to także będzie prawda.

— Daj.

— Masz, kundlu.

Rozpoczęła się bijatyka. Wezbrana siła wzburzenia musiała się wyładować choć w części, jeżeli nie miała doprowadzić do groźnego buntu przeciwko zarządowi. Prosty robotnik jak para: ujęty w karby, spełnia najuleglej wszelkie posługi, ale gdy je rozerwie, niszczy wszystko, co na drodze swego wybuchu spotka. Wszczęta bójka, która szybko rozszerzyła się na dalsze koła zebranych, odegrała rolę klapy bezpieczeństwa. Zadowolone w niej na chwilę dzikie instynkta osłabły i nie miały mocy do burzliwego ujawnienia się przeciw zarządowi kopalni. Ciągłe wymysły, w których język polski przeplatał się czeskim i niemieckim, rozdmuchiwały gasnący ogień walki.

Niemym jej świadkiem był czterdziestoletni górnik, który stał na uboczu, trzymając za rękę małą, obdartą dziewczynkę. Twarz jego chuda, pokryta fałdami, w których rysowały się ciemne smugi ołowianej sadzy, wyrażała poważny smutek, ożywiany jedynie lekkiemi drgnieniami ust i zmarszczkami czoła. Ani do bójki, ani nawet do rozmowy się nie mięszał, owszem, usuwał się skwapliwie coraz dalej z dzieckiem, ile razy zapaśnicy ku niemu się zbliżyli. Po co przyszedł? Dość było spojrzeć na jego bose nogi, połatane spodnie, wytarty kaftan, ażeby odgadnąć, że nie ściągnęła go tu chęć sejmikowania. Do izby sama robota nie przyjdzie, więc, jak inni, wyszedł z domu, tą samą drogą, którą przez dwadzieścia kilka lat codzień do pracy uczęszczał, wziął z sobą dziecko, bo wiedział, że nazad wróci i słuchał w gromadzie, czy tam gdzie jego grubych rąk nię potrzebują.

Stał tak długo milczący, od pola walki odsunięty, wreszcie pochwycił rozpaczliwie dziewczynkę na ręce i pobiegł do domu. Niedługo ukazał się z nią i z małym pakunkiem na plecach, powiedział słów parę przed progiem do starej kobiety i puścił się drogą, która wiodła do różnych wsi, ale także i do Nędzy. Spotkawszy go w tej podróży, po przełamanym chyba nosie czytelnik poznałby w nim Klemensa Borutę.

Przez ćwierć wieku uderzał oskarem w tarnowickiej kopalni ołowiu — oto jego historja. Dodać do niej wypada zaledwie to, że się ożenił i stracił w lat kilka matkę dziewczynki, którą teraz do Nędzy dźwigał.

Ponieważ prosięta, korzystając z pogodnego dnia, wybiegły na podwórze, Brzost więc swobodnie mógł zajmować się pracą w przeznaczonej dla nich izbie. Siedział on pod ścianą, otoczony pękami korzeni i prętów, z których powoli, nieśmiało, plótł mały koszyk. Obok dziesięcioletni Wicek, syn Katarzyny, wpatrywał się w robotę owczarza i zastępując mu brak oczu, ostrzegał go co chwila.

— Nie tu, dziadku, nie tu.

Brzost zwykle ustawał, badał ręką plecionkę i mówił:

— Co ty mnie będziesz uczył! Przeplotłem ten patyk, teraz ten.

— Ale ominęliście jeden.

— Utrzyj sobie nos, głupi, który ominąłem?

— No, ten.

Owczarz zaczął macać palcami i choć przekonał się o słuszności uwagi chłopca, gderał:

— Mądry, bo ma oczy. Kiedy ja je miałem, urwisie, to o wiorstę mogłem odróżnić, czy owca leci, czy baran.

— Nie sztuka — rzekł chłopiec — baran ma rogi.

— Osioł jesteś, a mały baranek gdzie ma rogi?

— Na głowie.

— Och ty capie, tobie one wyrosną.

Podczas gdy Brzost tak się z małym kramarzył, na progu stanął człowiek z dziewczynką, któregośmy widzieli przy tarnowickiej kopalni. Rozejrzał on się po izbie i zatrzymał wzrok na starcu.

— Dziadku — rzekł Wicek — czegoś chcą.

— Kto?

— Nie wiem.

— Co gadasz ciemięgo?

— Przyszli.

— Kto tam? — zapytał owczarz.

— Klemens Boruta — odpowiedział przybyły.

— Klemens... Boruta — powtórzył Brzost, opuszczając plecionkę koszyka — Klemens, biedny mój chłopaku, ty żyjesz? Gdzie jesteś, nie widzę cię, nie zobaczę, oślepłem, pójdź-że, daj rękę Brzostowi...

— To wy Brzoście? — rzekł Klemens zdziwiony.

— Nie poznałeś mnie, zgrzybiałem — co? Popruchniały już drzewa, które ze mną wyrosły, ani jednego głosu znajomego nie słyszę. I twój się zmienił, ile lat masz?

— Czterdzieści z górą.

— Czterdzieści, Jezu! Gdzież jesteś jakże ci się wiedzie?

— Źle dziadku, źle, dwadzieścia lat w kopalni kułem, teraz roboty nie mam.

— O, biedny, daj mi rękę, siądź tu. Wypędzili cię znowu, pobiłeś kogo?

— Rozpuścili nas w Tarnowicach, wziąłem dziewczę i przywlokłem się tu.

— To i córkę masz, gdzie, chodź tu, no, dobrze, a gdzież żona?

— Umarła.

— Biedny robaku. I mnie wygnali, plotę koszyki z Wickiem. To syn Kasi. U nich także bieda. Rymarz lata po wsiach z wywieszonym językiem i zarobić nie może. Zostaniesz tu?

— Muszę, póki coś się nie trafi.

— Trudno, bo trudno. Każdy za kamieniem się ogląda, czy chleba nie minął. O, mój drogi, co za czasy. Zboże podobno przepadło, kartofle gniją, kto nie zdąży umrzeć przed zimą, strasznie żyć będzie.

— Albo to od dziś? I moja nieboszczka nie byłaby zmarła, gdybym miał jej dać co jeść. Cherlała, cherlała, w domu zimno, w garnku pusto, ledwie dziecko było czem uciszyć. Furda bić łeb o mur, aby go przebić. A tu nic, czasem tylko powietrza chłapniesz i na tem przestać musisz.

— Wicek — rzekł Brzost — pobiegnij na górę i przynieś garnuszek, co tam stoi przy posłaniu liściami nakryty. Zjedz cie kaszy trochę — dodał po odejściu chłopca — dziewczyna pewnie głodna.

Jak przed dwudziestu pięciu laty częstował owczarz Borutę, ale już bez trzmielówki, bez wesołego usposobienia, bez nadziei spokojnego jutra. Gdy dziewczyna pochłaniała kaszę, dwaj przyjaciele opowiadali sobie wzajemnie przygody życia.

— Zdrów jesteś, oczy masz — mówił Brzost, — to prędzej gdzie się uczepisz, ale ja... Oto budują na folwarku stodołę, może tam się robota znajdzie.

— Pójdę, popytam. Ty, Marcysiu, zostań i zamieć izbę, ja zaraz wrócę.

— Tylko mi moich prętów nie ruszaj — rzekł owczarz do dziewczynki — tam w sieni jest miotła.

Marcysia zaczęła skrzętnie uprzątać izbę, którą znów prosięta utracić miały. Brzost ciągle z nią rozmawiał, wypytywał się o szczegóły losów ojca, ale ona nie wiele go objaśnić mogła. Było to dziecko miłe, ale fizycznie wątłe i umysłowo nie rozwinięte. Ciągłe odżywianie się kartoflami, do których tylko czasem dolewano serwatki lub dokładano kawałek baraniego łoju, nie pozwoliło wzmocnić się wątłemu z natury organizmowi i przytępiło jej władze duchowe. Marcysia miała już lat ośm, a wyglądała na pięć. Chuda, drobna, blada, z niepomiernie wydętym brzuchem, z rzadko porosłemi jasnemi włosami nosiła na sobie widoczne ślady choroby. Umysł jej obracał się w bardzo ciasnem kółku pojęć i stosunków dość żwawo, ale po za tem kółkiem tracił wszelką siłę. Zapytana jak się zwie ojciec, odpowiapała natychmiast, ale niezdolna była objaśnić, jak ona się nazywa. Liczyła z trudnością do trzech każdy dzień świąteczny był dla niej niedzielą, a powszedni czwartkiem. Dla czego czwartkiem? żaden psycholog nie umiałby tego wytłumaczyć. Zabiedzona od dzieciństwa znosiła głód z nadzwyczajną cierpliwością. Dostawszy nawet jakiś pokarm, jadła go powoli i mało. Wprawiona rozkazem w ruch, uwijała się skrzętnie, ale wypełniwszy polecenie, siadała w kącie niema i osłupiała.

I teraz, zamiotłszy izbę, przytuliła się do komina.

— Gdzie mała? — pytał Brzost Wicka — wyszła?

— Jest.

— Czemuż nic nie gada? Nie bój się Marcysiu, chodź tu, ja cię nauczę pleść koszyki.

Wszedł Boruta.

— No, to i dobrze — rzekł widocznie uradowany.

— Cóż takiego? — zagadnął Brzost.

— Dali mi robotę przy stodole. Marka za dzień, ale i to pieniądz. Dziewczyno, podskocz, będzie kolacja. Masz tu nożyk i obierz te kartofle.

Zaczął wysypywać z zanadrza ziemniaki.

— Garnka dostaniemy, drzewa bodaj z płotu nałamię i będzie bal. Tam w woreczku jest kawałek słoniny i sól. Teraz pójdę słomy kupić.

Znów wyszedł. Dziewczyna zabrała się do roboty, wymyła garnek Brzosta, przyniosła wiorów i nastawiła przy ogniu balową kolację.

Wieczorem już Boruta był zagospodarowany i poprzyjaźniony z rymarzem oraz jego żoną. Katarzyna nie zapomniała mu, że ją przed dwódziestu kilku laty poczęstował kiełbasą i wywdzięczyła się teraz miseczką gotowanej marchwi. Krótko wszakże trwały przypomnienia dawnych czasów i opowiadanie przebytych kolei. W biedzie wysychają uczucia. Myśl zajęta ciągle najprostszemi potrzebami życia, nie ma chęci i czasu kwilić rzewnie. Mieszkańcy więc domu Borutów, zamieniwszy między sobą kilka westchnień i pamiątek, zmierzywszy pobieżnie swoją niedolę, legli spać z zamiarem kłopotania się nazajutrz tylko osobistemi sprawami. Dostrzedz można było tylko, że między Brzostem a Borutą splótł się jakiś silniejszy węzeł.

— Pójdę już na górę — rzekł owczarz, gdy noc zapadła.

— Po co? mówił Boruta.— Przyniosę wam posłanie tu spać możecie. Przecie już prosiąt nie ma. Mnie nie zawadzacie a i dziewczynie będzie raźniej, gdy ja pójdę do roboty.

Owczarz nie dał się długo namawiać i od tej chwili został lokatorem dawnego swego przyjaciela.

Nazajutrz o świcie Boruta stanął przy pracy. Och, z jakąż skwapliwością do niej przystąpił! Robił wszystko: mięszał wapno, podawał cegły, ociosywał bale, kopał, posłuszny na każde skinienie, jak gdyby się bał, ażeby go nie pozbawiono tak szczęśliwie zyskanego zarobku. Gdy raz mularz krzyknął:

— Nie potrzeba cegły!

Boruta omal nie upadł na dół z całem brzemieniem. Zdawało mu się, że w tych słowach usłyszał straszną dla siebie groźbę. Trwożony tak ustawicznie, popełniał ciągle błędy i ściągał napomnienia, ale z drugiej strony dowodami pilności zyskiwał wielkie uznanie.

— Miałby ja takich trzech jak ty — rzekł raz do niego rządca Nędzy — to wybudowalby ja z nimi cala stodola.

Boruta podrósł z dumy.

Rósł on z dniem każdym, ale — niestety równocześnie rosła i stodoła.

Klemens takie miał poczucie wartości swych rąk, że nie przypuszczał nawet ażeby zachwycony nim p. Dornfisz mógł nie zużytkować tyle użytecznej siły. Płynęły więc dnie w dość jasnem zadowoleniu. Brzost siedział w domu i plótł koszyki, opowiadając dzieciom o dawnych czasach, w których trzmielówka niepoślednią grała rolę. Marcysia pod jego kierownictwem gotowała objady i kolacje, a chociaż grosze nie bardzo starczyły, widmo głodu do izby nie zaglądało.

Jednego dnia Boruta wrócił do domu niezwykle wesół.

— Skończyliśmy stodołę — rzekł do Brzosta — jak cacko.

— Cóż teraz będzie?— spytał owczarz lękliwie.

— Co z innymi będzie, nie wiem, ale ja przy dworze zostanę. Dornfisch zawołał mnie do siebie i kazał przyjść jutro. Żeby dał ze 60 talarów i ordynację! Chyba da.

(C. d. n.)

KORESPONDENCJE.

Petersburg 18. lutego.

Piszę do was pod wrażeniem niebywałego wypadku. Dzieje świata nie znają nic podobnego. Domyślacie się, że mówię o wczorajszym zamachu. Pierwotnie w mieście myślano, że gaz eksplodował. Lecz niebawem dowiedziano się o istotnej przyczynie — był to nowy zamach na życie cara, wykluczając Berezowskiego, piąty z rzędu. Źle wypowiedziałem na życie cesarza; nie na życie jednego cesarza, lecz na życie całej jego rodziny zamach był wymierzony!

Pomimo że telegramy przyniosły już wam wiadomość o tym niepospolicie śmiałym aż do zuchwalstwa, postępku rewolucjonistów tutejszych, pozwolę sobie opisać kilka szczegółów, o których może nie wiecie. Że zamach był wymierzony na całą rodzinę cesarską, nie ulega wątpliwości z zważywszy, że do Petersburga na uroczystość jubileuszową zebrali się wszyscy synowie jego, córka przybyła z zagranicy wraz z dziećmi i mężem swym księciem Edymburgskim, dalej przybyli księztwo Heskie z młodszym swym synem Ludwikiem oficerem marynarki angielskiej a wreszcie drugi syn wspomnianych księztw, panujący książę bułgarski Aleksander. Car więc jak widzicie, idąc na obiad fatalny — czyli raczej który o mało niestał się fatalnym, był otoczony całą rodziną, zięciem, szwagrem i siostrzeńcami, a zatem wszyscy co do jednego mogli być zgładzeni. Wiedzieli o tem dobrze spiskowcy, a jednak nie zawahali się. Da się jeszcze pojąć ze strony rewolucjonistów chęć zgładzenia cara — ale cóż byli przytem winni tacy Edymburscy lub Darmsztadcy goście, a zresztą owych 53 żołnierzy, z których połowa przynajmniej umrze z ran jeszcze (dotąd 11 zginęło,) tak są ciężko pokaleczeni?

Wyznać należy, że właśnie ta okoliczność, że mogli zgładzić „winnych i niewinnych,“ wiele zaszkodziła rewolucjonistom w opinji publicznej.

Ale obok i podziw! Bo doprawdy, trzeba było niepospolitej odwagi, poświęcenia się, sprytu i zdolności, ażeby się dobrać aż do samego mieszkania carskiego, strzeżonego więcej jak się strzeże oka we łbie i tam podłożyć minę. Bo że mina podłożoną była, to nie podlega wątpliwości; warunki topograficzne nie dozwalały ani myśleć o podkopie, jak to uczyniono w Chersonie, a potem w Moskwie.

Powiadają, że schorzała cesarzowa umarła z przerażenia. Lecz nie zdaje się to prawdą. Rząd nie miałby potrzeby taić się z jej zgonem gdyby takowy nastąpił; owszem skorzystałby z niego, by większe oburzenie obudzić, szczególnie w czerni ulicznej.

Czerń bowiem pamięta, że to Aleksander II nadał wolność wraz z własnością chłopom, dotąd w przeważnej mierze widzi w nim dobroczyńcę swojego i otacza sympatją. Wyjątek tu stanowi chyba proletarjat roboczy z niektórych fabryk, zapostołowanych przez rewolucjonistów dawniejszemi laty.

Jeżeli telegram doniesie wkrótce, że *czerń uliczna tu i tam rzuciła się na »studentów«*, nie dziwcie się temu bynajmniej. Dość lekkiego podmuchu z jakiejbądź strony, by to uczyniła, a na dowód przypomnicie sobie niedawną historję uliczną, gdy to czerń moskiewska rzuciła się na studentów kijowskich, transportowanych przez Moskwę na wygnanie do północnych gubernji.

Według tego co rząd ogłosił, mina podłożoną była w „podwalnom etaże“, t. j. w piwnicach, gdzie się mieścił główny kalorifer, i wyrwała: *sklepienie* piwnicy, *sklepienie* odwachu wewnętrznego i nareszcie położoną na tem ostatniem sklepieniu *podłogę* w jadalnej sali cesarskiej, gdzie wszystko zdruzgotała w literalnem słowa tego znaczeniu, poraniwszy jednocześnie kilku ze służby.

W kwadrans po wybuchu przyleciał do zamku generał Gurko, niektórzy z ministrów, komendant miasta, i. t. d. — przywołano wojsko, otoczono zamek i poczęto od grzebywać trupów, pozbierać rannych, czynić poszukiwania czy nie ma gdzie jeszcze miny ukrytej — i robota ta zajęła caluteńką noc i poranek następny. Gurko cały zapylony i czarny jak węgiel, zmęczony, wściekły i nie do poznania wrócił do siebie dopiero o godzinie 9. z rana. Dawał przykład saperom i sam lazł do kominów.

Powiadają, że car niespał noc całą, że tejże nocy odwiedzał dwa razy rannych, że ani carowa, ani car, ani nikt z ich rodziny wcale nie opuszczał zamku — ale nie łatwo jest uwierzyć temu. Dotąd zamek otoczony i inżynierowie z saperami wciąż kopią w piwnicach, sprawdzają czy była tylko jedna mina, czy kilka ukrytych. Lud patrzy się o sto kroków, ale mimo łańcucha przestąpić nie chce, bo zaraz aresztują.

Słychać, że aresztowano dwóch palaczy obsługujących kalorifer; trzeci uciekł. Lecz czy oni winni? — nikt nie wie, jak nikt dotąd nie wie, co się stało z oficerem dowodzącym wartą? Czy sobie w łeb palnął, czy uciekł, czy był w zmowie?...! takie każdy zadaje sobie pytania w obec faktu, że *żadna relacja rządowa nie wspomina o tym oficerze*, który trzymał wartę w chwili wybuchu.

Wydano rozkaz, ażeby patrole i straże przebiegały miasto począwszy od zachodu słońca aż do godziny 8 z rana.

Aresztowania już się rozpoczęły.

Jak oddziała piąty ten zamach na dalsze postępowanie rządu? Czy car nada konstytucję, czy złoży koronę, czy też nie zrobi nic podobnego i wytrwa w systemie dotychczasowym? — są to także pytania nasuwające się każdemu.

Otóż głos powszechny powiada, że rewolucjoniści więcej złego, aniżeli dobrego tym swoim zamachem przynieśli krajowi, a to z bardzo prostej przyczyny. Zgadzają się wszyscy na jedno: że jakiekolwiek car miał zamiary po wojnie tureckiej, to w każdym razie nie dziś pora mu myśleć o nadaniu konstytucji. Carowie nie dają konstytucji mając do łba przyłożony pistolet; nie pozwala im na to poczucie godności monarszej, a chociażby osobistej tylko. Mylnem jest mniemanie, że bomba Orsiniego zmusiła Napoleona Ludwika, do zmienienia polityki i wydania wojny Austrji. Nie bomba zmusiła go do ujęcia się za Włochami, lecz osobiste widoki

i korzyści. Car wie dobrze, że gdyby dziś złagodniał w rządach, to okazałby tem tylko tchórzostwo, jutro miałby rewolucję, a pojutrze musiałby przez Finlandję do Szwecji uciekać.

A mogę was upewnić, że miał pewne zamiary, nie nadania formalnej konstytucji, lecz przypuszczenia w pewnym stopniu kraju do spraw rządowych. W rocznicę dwudziestopięcioletniego panowania swego, miał mianowicie zawezwać ziemstwa, aby wysłały do Petersburga po trzech delegatów z gubernji, którzyby zebrawszy się, utworzyli coś w rodzaju izby „doradczej“, mającej prawo wglądania w sprawy, nie znów „państwowe“ — bo to rzecz inna — ale po prostu tylko, jak powiedziałem rządowe, czyli wyraźniej mówiąc, czysto administracyjnej natury. Projekt ten był przed kilku tygodniami rozbierany w komitecie ministrów i niektórych dygnitarzy z Rady państwowej pod osobistem przewodnictwem cesarza — ale obecnie został pogrzebany, ku wielkiej radości tychże samych panów ministrów.

Nic też podobno nie będzie z pięknych nadziei tak zwanych „łask“ dla ziem naszych, któremi nie jeden się łudził. Mówiono o tem głośno, że w dniu 2. przyszłego marca, miał być zniesiony ukaz 10. grudnia (1864, zabraniający nabywania dóbr ziemskich na Litwie i Rusi), a w królestwie w szkołach, sądownictwie i administracji, ma być częściowo uwzględniony język polski. Nic z tego nie będzie, a to z tej prostej przyczyny, że car nie może „łask“ świadczyć Polakom, odmawiając jednocześnie własnym ziomkom, a zresztą system panujący w Ziemiach polskich, *jest tak ściśle związany z prywatnym interesem* kilkunastu tysięcy rodzin dygnitarzy, popów, czynowników i wojskowych rossyjskich, że niebezpieczną jest dla cara, zwłaszcza dziś rzeczą, naruszać w czemkolwiek ten system. Byłoby to toż samo, co poruszyć gniazdo szerszeni w wygodnym ich ulu.

Z innych wiadomości, tyczących się kraju naszego, mam jeszcze dwie do udzielenia. Z Kowna, stolica Żmudzi ma być przeniesiona do Wiłkomierza, lub nieco dalej na północ, do Poniewieża, bo z Kowna, jako nader ważnego strategicznego punktu, rząd chce zrobić fortecę. Będzie to jednak złamaniem tajnych punktów traktatu wiedeńskiego, któremi się rząd zobowiązał nigdy nie zamieniać w twierdzę Kowna przeciw Prusom, a Sandomierza przeciw Austrji.

Druga wiadomość, którą mam z dobrego źródła, zasługuje na zupełną wiarę. Mogę wam donieść, że dni Kotzebue'go są policzone. Kotzebue, z powodu starości poda się wkrótce do dymisji; na jego miejsce do Warszawy przyjdzie g. Albediński, teraźniejszy Wileński generał-gubernator, a na miejsce znów Albedińskiego zjedzie do Wilna książę Dondukow-Korsakow, co był generał-gubernatorem w Rumelji. Zmiany te dla nas nie mają znaczenia. Nie ludzie znaczą, ale system — a ten jak powiedziałem, najprawdopodobniej zniesionym nie będzie.

PYTANIA.

(Z HEINEGO).

Nad brzegiem morza, w skał zimnych cieniu
Młodzian oblicze przysłania...
Z piersią wezbraną, z myślą zwątpienia
Zadaje falom pytania...

Pieniste fale! Wy dzieci morza,
Ulżyjcie duszy mej męce!
Wyrwijcie myśl mą z zwątpień bezdroża,
Zbudźcie marzenia dziecięce...

Dajcie odpowiedź pytaniom moim,
Starym jak wieczność bez końca...
W które swe myśli rozpacznie zbroim
By wzlecieć do prawdy słońca...

Czemże jest człowiek — czem jego życie?
Zkąd przyszedł na świat? gdzie dąży?
Kto ma mieszkanie w nieba błękicie?
Dla czego wszechświat tak krąży?

I szumią fale i wicher wieje
I zastęp chmur wdal ucieka...
Śmieją się gwiazdy — księżyc się śmieje...
A głupiec czeka i — czeka...

Al. Kraushaar.

SPADEK 500 MILIONOWY

POWIEŚĆ

JULJUSZA VERNE'A

PRZEKŁAD

WINCENTY LIMANOWSKIEJ.

(Ciąg dalszy.)

ROZDZIAŁ X.

Artykuł z niemieckiego przeglądu: »Unsere Centurie«.

Na miesiąc przed czasem, w którym zaszły dopiero co opowiedziane wypadki, pewny przegląd, noszący czerwoną okładkę i zatytułowany „Unsere Centurie“ (Nasze stulecie), ogłosił następujący artykuł, dotyczący się Francji-Miasta; artykuł ten podobał się bardzo wybrednym gustom niemieckiego cesarstwa, może dlatego, że z punktu wyłącznie materjalnego roztrząsał wszystko, co się odnosiło do miasta tego.

„Opowiadaliśmy już czytelnikom naszym o nadzwyczajnem zjawisku, które się ukazało na zachodniem wybrzeżu Stanów Zjednoczonych. Wielka Rzeczpospolita amerykańska, dzięki znacznej liczbie emigrantów, należących do jej ludności, oddawna już przyzwyczaiła świat do niespodzianek, które następują jedna po drugiej. Ostatnią z nich i najdziwniejszą jest na prawdę ukazanie się Francji - Miasta, o którem nikomu nie śniło się nawet przed pięciu laty, a które tak nagle dosięgło najwyższego powodzenia i znajduje się obecnie w kwitnącym stanie.

„Cudowne to miasto jakby czarem powstało na pachnącem wybrzeżu Spokojnego Oceanu. Nie będziemy badali, czy tak jest w istocie, jak utrzymują, że pierwotny plan i pierwsza myśl przedsięwzięcia tego pochodzi od Francuza, doktora Sarrasin. Może to być, zwłaszcza, że doktor ów szczyci się pokrewieństwem z naszym słynnym królem Stalowym. A nawet, mówiąc nawiasem, powiadają, że podchwycenie znacznego spadku, prawnie należącego do Herr Schultze'a, przyczyniło się do założenia Francji - Miasta. Gdzie tylko robi się cokolwiek dobrego na świecie, można być pewnym, że staje się to zawsze za współudziałem niemieckim; z prawdziwą dumą podnosimy tę prawdę przy tej okoliczności. Ale bądź co bądź, musimy udzielić czytelnikom naszym szczegółów dokładnych i autentycznych o tym nagłym wzroście wzorowego miasta.

„Imię jego nie znajduje się na karcie. Nawet wielki atlas, składający się z trzystu siedmdziesięciu tomów in folio naszego znakomitego Tuchtigmanna, gdzie ze ścisłą dokładnością wskazane są wszystkie krzaki i drzewa starego i nowego świata, nawet w tym szlachetnym pomniku nauki geografji, zastosowanej do sztuki tyralierskiej, nie ma żadnego śladu Francji-Miasta. Tam, gdzie się teraz wznosi nowe miasto, przed pięciu laty był pusty step. Miejsce to wskazane jest na karcie pod 43. stopniem 11'3" szerokości północnej i 124. stopniem 41'17" długości na zachód od Greenwich. Leży zatem nad brzegiem Oceanu Spokojnego, u stóp drugorzędnego łańcucha gór Skalistych, noszącego nazwę Cascade-Mounts, o dwadzieścia mil od przylądka Białego, w stanie Oregon, w Ameryce północnej.

„Z największem staraniem wyszukano i między wielu innemi dogodnemi miejscami wybrano to, które zdawało się być najodpowiedniejsze. Do przyczyn, które wpłynęły na ten wybór, zaliczyć szczególnie należy: sferę umiarkowaną, w której się znajduje, a która zawsze stała na czele cywilizacji ziemskiej; położenie miasta w rzeczypospolitej federacyjnej i w państwie nowem jeszcze, które czasowo zapewniło mu niezależność i prawa podobne do tych, jakie w Europie posiada księztwo Monaco, z warunkiem przyłączenia się po pewnej liczbie lat do Związku; sąsiedztwo oceanu, który coraz bardziej staje się drogą kuli ziemskiej; grunt żyzny, nierówny i szczególnie sprzyjający zdrowiu; bliskość łańcucha gór, który zatrzymuje wiatr z północy, z południa i ze wschodu, tak, że tylko lekki wietrzyk od morza odświeża atmosferę miasta; mała rzeczka, której woda świeża, lekka, utleniona wskutek częstych spadów i szybkości biegu, przybywa do morza zupełnie czysta; nakoniec, port naturalny, bardzo łatwy do rozszerzenia a utworzony przez długi przylądek, zakrzywiony w kształcie haka.

„Wspomnieć tylko należy o drugorzędnych korzyściach: bliskość pięknych kopalni marmuru i kamieni, pokłady karlinu, a nawet ślady ziarn złota. Wprawdzie, dla tej ostatniej okoliczności, o mało co nie odstąpiono od wybranej miejscowości, albowiem założyciele miasta bali się, by gorączka złota nie stanęła na przeszkodzie ich zamiarom. Ale na szczęście, ziarnka pokazały się rzadkie i małe.

„Wybór okolicy nastąpił wprawdzie dopiero po głębokich i poważnych badaniach, zajął jednak niewiele czasu i nie wymagał osobnej podróży; nauka o ziemi na tyle już teraz jest posunięta, że nie wychodząc z gabinetu swego, można powziąć dokładną i pewną wiadomość o najdalszych okolicach.

„Kiedy kwestja ta została rozstrzygnięta, dwaj delegowani komitetu organizacji wyruszyli okrętem z Liverpoolu, w jedenaście dni potem przybyli do Nowego-Yorku, a za tydzień stanęli w San-Francisco; tu najęli parostatek, który w dziesięć godzin dostawił ich na wskazane miejsce.

„W niespełna miesiąc porozumieli się z władzą, istniejącą w Oregonie; otrzymali koncesją na pas ziemi, ciągnący się od morza do grzbietu Cascade-Mounts, a szeroki na cztery mile i za pomocą kilku tysięcy dolarów, skłonili pół tuzina plantatorów do zrzeczenia się praw rzeczywistych czy urojonych, jakie ci rościli sobie do tej ziemi.

„W styczniu 1872 terytorjum było już zba-

*

dane, wymierzone, główne punkta wytknięte i armja z dwudziestu tysięcy kuli *) chińskich, pod kierunkiem pięciuset nadzorców i inżynierów europejskich, stanęła do dzieła. Afisze, przylepiane w całym stanie Kalifornii, oddzielny wagon stale dodawany do szybkiego pociągu co dnia wychodzącego z San Francisco i obiegającego ląd amerykański, i codzienna odezwa w dwudziestu czterech dziennikach miasta tego, dostarczały potrzebną liczbę robotników. Obeszło się nawet bez sposobu, który pewne towarzystwo proponowało, ofiarując się za małą stosunkowo cenę ogłosić wezwanie do robotników olbrzymiemi literami wyrzniętemi na cyplach gór Skalistych. Trzeba wiedzieć, że napływ chińskich kuli do Ameryki zachodniej wielkie sprawił zamięszanie w cenach na robotnika. Z tego powodu nawet kilka stanów dla zapewnienia środków utrzymania własnym mieszkańcom i dla zapobiegnięcia krwawym zajściom, musiało tłumy tych nieszczęśliwych wyrzucać z granic swoich. Założenie Francji - Miasta w samą porę uratowało ich od zguby. Wyznaczono im jednostajną płacę dolara dziennie i pieniądze miano im oddać dopiero po ukończeniu robot, a prócz tego dawano żywność w naturze, którą administracja miejska rozdawała codziennie. Takim sposobem uniknięto nieporządków i haniebnych spekulacji, które bardzo często sromotnie towarzyszą wielkim tym poruszeniom ludności.

„Każdego tygodnia, w obecności delegowanych, składano do banku w San - Francisco zarobek pracowników, i każdy z nich odbierając go, musiał zobowiązać się, że nie wróci więcej do miasta. Konieczna to była ostrożność, dająca sposób pozbycia się ludności żółtej, która niewątpliwie bardzo niekorzystnie wpłynęłaby na zmianę typu i charakteru nowego miasta. Zresztą założyciele zachowali dla siebie prawo zezwalania na pobyt lub odmawiania go, co względnie łatwem czyniło zastosowanie tego sposobu.

„Pierwszem wielkiem przedsiębiorstwem było przeprowadzenie gałęzi kolei żelaznej, która połączyła nowe miasto z pniem Pacific - Railroad i dotarła do miasta Sacramento. Unikano przytem starannie wszelkich wstrząśnień ziemi i głębokich przekopów, które mogłyby były źle wpłynąć na warunki zdrowia. Prace te, jakoteż roboty koło portu, prowadzono z nadzwyczajną szybkością. Już w miesiącu kwietniu pierwszy pociąg, w prostej linji z Nowego - Yorku idący, przywiózł do dworca Francji-Miasta członków komitetu, którzy do tego czasu bawili w Europie.

„W tym czasie zatwierdzono główne plany miasta, jakoteż szczegółowe dotyczące pomieszkań i gmachów publicznych.

„Nie brakło materjałów: jak tylko bowiem rozeszła się wieść o budowie miasta, natychmiast przemysłowcy amerykańscy zasypali wybrzeża Francji - Miasta rozmaitymi, jakie tylko sobie wyobrazić można, materjałami budowlanymi. Założyciele mieli wszystko do wyboru. Postanowili oni użyć kamień ciosowy do gmachów narodowych tylko i do ogólnej ozdoby, domy zaś miały być budowane z cegieł; naturalnie, że nie z owych zwykłych cegieł niezgrabnie ulepionych z gliny lepiej lub gorzej wypalonej, ale lekkich, równych sobie zupełnie co do kształtu, ciężkości i gęstości i zaopatrzonych w szeregi dziur cylindrycznych, równolegle do siebie idących w kierunku długości cegieł. Otwory te, stykające się z sobą przy ustawianiu cegieł, tworzą we wnętrzu ścian kanały otwarte na obu końcach swoich i takim sposobem dają przystęp powietrzu, które może swobodnie krążyć tak w zewnętrznych jak w wewnętrznych ścianach domu. *) Takie urządzenie ma jeszcze tę ważną dogodność, że tłumi dźwięki i każdemu mieszkaniu zapewnia niezależność zupełną.

„Zresztą komitet nie myślał wcale narzucać budowniczym jeden typ domu. Był nawet przeciwny tej nużącej i nieznośnej jednostajności. Ustanowił tylko pewną ilość stałych przepisów, których architekci obowiązani byli trzymać się:

„1. Każdy dom będzie stał odosobniony na cząstce gruntu zasadzonego drzewami, trawnikiem i kwiatami. Należeć będzie do jednej tylko rodziny.

„3. Żaden dom nie będzie miał więcej jak dwa piętra; powietrze i światło nie powinny bowiem być przywłaszczane przez jednych ze szkodą drugich.

„3. Wszystkie domy będą o dziesięć metrów oddalone od ulicy, od której oddzielać je będzie krata wysoka po pas. Przestrzeń między kratą a fasadą domu będzie urządzona jako ogród kwiatowy.

„4. Mury mają być robione z rurkowatych patentowanych cegieł, zastosowanych do podanego wzoru. Co do ornamentyki zupełna wolność pozostawiona jest architektom.

„5. Dachy mają być płaskie, z lekka pochyłe na cztery strony, pokryte asfaltem i otoczone galerją na tyle wysoką, by zapobiedz mogła wszelkim wypadkom; starannie urządzone ścieki mają ułatwiać natychmiastowy odpływ deszczowej wody.

„6. Wszystkie domy będą zbudowane na sklepionych fundamentach, otwartych ze wszystkich stron i tworzących pod mieszkaniami rodzaj suterenów przewietrzających, które jednocześnie będą służyły za skład. Rury do wody i upusty, zgromadzone koło środkowego słupa sklepienia będą otwarte, by zawsze można było sprawdzić ich stan i w razie pożaru mieć na zawołanie potrzebną wodę. Halla ta, czyli skład, podniesiony na pięć czy sześć centymetrów po nad poziom ulicy, będzie starannie wysypany piaskiem. Drzwi i osobne schody bezpośrednio łączyć go będą z kuchniami lub spiżarniami tak, że wszystkie czynności gospodarskie załatwiać się będą nie rażąc ani wzroku ani powonienia. Drzwi i schody osobne bezpośrednio łączą ją z kuchnią i spiżarnią, tak że wszystkie czynności gospodarskie będą mogły odbywać się tam, nie rażąc ani wzroku ani węchu.

„7 Kuchnie, spiżarnie i inne gospodarskie miejsca, wbrew powszechnemu zwyczajowi, będą umieszczone na górnem piątrze i połączone z dachem, który takim sposobem stanie się dodatkową ich częścią na wolnem powietrzu. Dla łatwego przenoszenia wszystkich ciężarów na to piątro, urządzonym będzie kołowrót poruszany siłą mechaniczną, który za umiarkowaną cenę, tak jak sztuczne światło i woda, będzie służyć mieszkańcom.

„8. Plan mieszkań pozostawiony jest osobistej fantazji. Ale bezwarunkowo zakazane są w nich dwa niebezpieczne źródła chorób, prawdziwe gniazda miazmatów i laboratorje trucizny: dywany i papierowe obicia. Posadzki artystycznie wykonane z drogiego drzewa, ułożonego w mozaikę przez umiejętnych stolarzy, wieleby straciły na tem, gdyby je ukryto pod wełniankami wątpliwej czystości. Co do ścian, wyłożone polewaną cegłą, blaskiem swym i rozmaitością przypominają wnętrze mieszkań w Pompei; trwałość ich i bogactwo kolorów o wiele przewyższają malowany papier, w którym tyle jest subtelnej trucizny. Ściany te myją się tak jak zwierciadła i szyby, tak jak się czyszczą posadzki i sufity. Żaden zarodek choroby nie może się w nich przyczaić.

„9. Pokój sypialny nie powinien służyć za gabinet do ubierania się. Zaleca się jak najusilniej, by pokój ten, gdzie upływa trzecia część życia, był jak najobszerniejszym, jak najprostszym i miał najwięcej świeżego powietrza. Służyć powinien tylko do spania; cztery krzesełka, łóżko żelazne ze sprężynowym spodnim materacem i wierzchnim wełnianym, często trzepanym, to są jedynie potrzebne w nim meble. Naturalnie, że pierzyny, kołdry pikowane i inne, jako potężni sprzymierzeńcy chorób zaraźliwych, bezwarunkowo usunięte są. Dobre wełniane kołdry, lekkie i ciepłe, łatwo dające się prać, doskonale zastąpią ich miejsce. Firanki i draperje nie są wprawdzie zakazane, ale przynajmniej trzeba starać się robić je z materjałów dających się często prać.

„10. W każdym pokoju jest komin do palenia drzewem lub węglem kamiennym, jak kto zechce, ale każdy komin będzie koniecznie połączony z otworem dającym przystęp wolnemu powietrzu. Co do dymu, ten zamiast uchodzić dachem, podziemnymi kanałami udaje się do osobnych pieców, kosztem miasta zbudowanych w tyle domów, w stosunku jednego pieca do dwiestu mieszkańców. Tam pozbywa się cząstek węgla, które był uniósł z sobą, i w stanie bezbarwnym zostaje wyrzuconym w atmosferę, do wysokości trzydziestu pięciu metrów.

„Takie są stałe prawidła, których trzymać się trzeba przy budowie każdego prywatnego mieszkania.

„Ogólne rozporządzenia są równie starannie opracowane.

„Plan miasta jest nadzwyczaj prosty i regularny, tak, że łatwo bardzo rozwijać się dalej może. Ulice krzyżują się pod kątami prostymi, w równych od siebie znajdują się odległościach, jednostajną mają szerokość, osadzone są drzewami i odznaczone porządkowymi numerami.

„Co pół kilometra ulica, o trzecią część szersza od innych, nazywa się bulwarem albo aleą, mającą z jednej swej strony odkryty przekop, w którym szły koleje konne i drogi żelazne metropolji.

Na wszystkich placach urządzony jest ogród publiczny, ozdobiony tymczasem pięknemi kopiami arcydzieł rzeźby, dopóki artyści Francji-Miasta nie wykonają oryginalnych utworów, mogących godnie je zastąpić.

„Wszystkie przemysły i wszystkie handle są wolne.

„Chcąc otrzymać prawo osiedlenia się we Francji-Mieście, dosyć jest mieć dobre świa-

*) Kuli, plemię chińskie, zwane także kole, dostarcza silnych mężczyzn, których używają do ciężkich robót po miastach nadbrzeżnych. (Przyp. tł.)

*) Przepisy te, jakoteż myśl ogólna o dobrobycie, pochodzą od uczonego doktora Benjamina Ward Richardsona, członka królewskiego towarzystwa w Londynie.

dectwo, które należy przedstawić; trzeba być uzdolnionym do jakiegoś stanu użytecznego lub do nauk wyzwolonych, w przemyśle, naukach, albo sztukach; trzeba również zobowiązać się do przestrzegania praw miasta. Próżnujące osobistości nie będą w niem cierpiane.

Gmachów publicznych jest już wielka liczba. Najważniejsze z nich są: katedra, pewna ilość kaplic, muzea, bibljoteki, szkoły, gimnazja urządzone z przepychem i znajomością warunków hygienicznych, prawdziwie godnych wielkiego miasta.

„Zbytecznem byłoby mówić, że dzieci od lat czterech muszą wprawiać się w ćwiczenia umysłowe i fizyczne, które jedynie mogą rozwinąć w nich siły mózgowe i muszkularne. Przyzwyczajone są do tak wielkiej czystości, że plamę na prostych swych sukniach uważają za hańbę niemal.

„Kwestja ta czystości osobistej i zbiorowej, jest zresztą przedmiotem głównej troskliwości założycieli Francji-Miasta. Czyścić, czyścić bez końca, niszczyć wciąż miazmata stale tworzące się w miejscach, gdzie ludność skupiona jest, takie jest najważniejsze zadanie centralnego rządu. W tym celu wszystkie kanały centralizują się za miastem; materjał, przez nie sprowadzony, poddaje się działaniu pewnych chemicznych środków, i wreszcie zgęszczony już wywozi się codziennie na pola.

„Woda leje się wszędzie strumieniami. Ulice wyłożone drzewem asfaltowanem i kamienne chodniki tak są czyste jak jaka posadzka podwórza holenderskiego. Rynki z żywnością są przedmiotem bezustannego nadzoru; surowe kary czekają kupców, którzy się ośmielą spekulować zdrowiem publicznem. Ten, który sprzedaje nieświeże jajo, zepsute mięso, sfałszowane mleko, jest uważanym za truciciela, bo jest nim w istocie. Policja sanitarna, tak potrzebna i tak delikatna, powierzona jest ludziom biegłym, prawdziwym specjalistom, którzy stosowne do tego celu nauki pobierali w szkołach normalnych.

„Władza ich rozciąga się aż do praczkarni; te ostatnie zbudowane są na wielką skalę, zaopatrzone w maszyny parowe, sztuczne suszarnie a nadewszystko desinfekcyjne izby. Bielizna wraca do właściciela swego wyprana z gruntu; starannie przytem przestrzega się tego, by nie mięszać bielizny dwóch rodzin oddzielnych. Ta prosta ostrożność nieobliczone sprowadza skutki.

„Szpitalów jest mało, bo ogólnie zaprowadzony jest system udzielania pomocy w domu, szpitale zaś przeznaczone są tylko dla cudzoziemców nie mających schronienia i tylko w niektórych wyjątkowych wypadkach. Nie trzeba zdaje się mówić, że myśl urządzenia szpitalu w większym od innych gmachu i nagromadzenia siedmiuset lub ośmiuset chorych w jednem ognisku zarazy nie mogła powstać w głowie założyciela wzorowego miasta. Zamiast systematycznie łączyć chorych, tutaj przeciwnie starają się odosobnić ich od siebie. Leży to nie tylko w ich własnym interesie, ale też i w interesie publiczności. W każdym domu nawet zaleca się, by o ile można trzymano chorego w osobnym pokoju. Szpitale są to budowy wyjątkowe i małych rozmiarów, czasowo potrzebne w nagłych wypadkach.

„Dwadzieścia, trzydzieści chorych najwyżej, dla każdego z nich pokój osobny, może się znaleść w takich lekkich barakach, zrobionych z drzewa sosnowego; co rok palą je regularnie i robią nowe. Ambulanse te, zbudowane podług jednego wzoru, są korzystne pod tym względem również, że można je przenosić podług woli w tę lub ową stronę miasta, stosownie do potrzeb, i że w miarę tych ostatnich można je przemieszczać.

„Do służby zdrowia wprowadzono jednę bardzo dobrą nowość, mianowicie dołączono do niej pewną ilość osób, przeznaczonych do pielęgnowania chorych; są one do tego obowiązku w szczególności przyuczone i utrzymywane przez centralną administrację do użytku publiczności. Kobiety te, z przezornością wybierane, są dla doktorów nieocenioną pomocą. Wnoszą one do rodzin praktyczną umiejętność, tak potrzebną a tak często zaniedbaną w chwili niebezpieczeństwa; zadaniem ich jest nie tylko pielęgnować chorego, ale przeszkadzać zarazem rozszerzeniu się choroby.

„Nie skończylibyśmy, gdybyśmy chcieli wyliczyć wszystkie udoskonalenia hygieniczne, wprowadzone przez założycieli miasta. Każdy obywatel otrzymuje za przybyciem swojem małą broszurę, gdzie najważniejsze przepisy życia, wskazane przez naukę, wypowiedziane są językiem prostym i jasnym.

„Widzimy z nich, że doskonała równowaga między wszytkiemi funkcjami człowieka jest koniecznością dla zdrowia, że tak praca jak spokój zarówno niezbędne, są dla organów, że zmęczenie jest potrzebne tak dla mózgu, jak dla muszkułów, że dziewięć dziesiątych chorób pochodzi z zarazy, udzielającej się przez powietrze lub przez pokarmy. Mieszkanie jego i osoba nie jednę powinny przebyć kwaratannę zdrowia, nigdy ich za wiele być nie może. Unikać podbudzającej trucizny, używać ćwiczeń ciała sumiennie spełniać obowiązki zawodu swego, pić czystą dobrą wodę, jeść mięso i zdrowe, po prostu przyrządzone jarzyny, spać regularnie od siedmiu do ośmiu godzin co noc, takie jest abecadło zdrowia.

„Zaczęliśmy od pierwszych zasad założycieli a nieznacznie doszliśmy do tego, że mówimy o tem dziwnem mieście, jako o rzeczy skończonej. Bo też rzeczywiście, zaledwie pierwsze domy stanęły, następne jakby czarem wyszły z pod ziemi. Kto nie był w Ameryce, ten nie może wyobrazić sobie nagłego wzrostu miast tamże. Puste jeszcze w styczniu 1872, wybrane miejsce, liczyło sześć tysięcy domów w 1873. Miało ich dziewięć tysięcy i wszystkie swe gmachy gotowe w 1874.

„Trzeba wyznać, że spekulacja miała też udział swój w tem niesłychanem powodzeniu. Zbudowano wielką ilość domów na gruntach obszernych i nie mających z początku wartości, i odprzedawano je za cenę bardzo umiarkowaną lub odnajmywano pod bardzo skromnymi warunkami. Emigracja, zwabiona zupełnym brakiem akcyzy, polityczną niezależnością tego małego odosobnionego zakątka, urokiem nowości, łagodnym klimatem, napełniła wkrótce miasto. Teraz już Francja-Miasto liczy około stu tysięcy mieszkańców.

„Ale co najważniejsza i co szczególnie może nas zajmować, to że doświadczenia, tyczące się zdrowia, powiodły się jak najzupełniej. W najszczęśliwszych pod tym względem miastach starej Europy lub Nowego-świata, śmiertelność roczna nigdy nie okazywała się o wiele co mniejszą jak trzy na sto; we Francji Mieście śmiertelność w ciągu tych lat pięciu była tylko jak półtora na sto. I do tej cyfry jeszcze przyczyniła się mała epidemja błotnista, która się pokazała była w pierwszym roku. W tym zaś ostatnim, osobno wziętym, cyfra ta równa się tylko jednemu i ćwierć. Zachodzi przytem jedna okoliczność jeszcze ważniejsza; z małym tylko wyjątkiem, wszystkie przypadki śmierci zaszły tam były następstwem chorób specyficznych, właściwych i najczęściej dziedzicznych. Choroby przypadkowe były bez porównania rzadsze i mniej niż gdziekolwiek indziej niebezpieczne. Co do właściwych epidemji, tych wcale nie było.

„Dalsze rozwijanie się tej próby bardzo będzie zajmujące. Ciekawem będzie mianowicie przeświadczenie się, czy taki sposób życia zastosowany do przepisów nauki, wpływem swoim na całe pokolenie a tembardziej na pokoleń kilka nie zdoła osłabić usposobienia do chorób dziedzicznych.

„Bez żadnej zarozumiałości możemy się tego spodziewać — pisze jeden z założycieli tego dziwnego miasta, a w takim razie, jakże wielkim będzie rezultat! Ludzie żyjący do dziewięćdziesięciu, lub stu lat, umierający tylko ze starości, jak większa liczba zwierząt, jak rośliny!

„Jakże ponętnym jest taki ideał!

„Jeżeli jednak wolno nam objawić szczere zdanie nasze, musimy wyznać, że nie bardzo wierzymy, by doświadczenie stanowczo się udało. Widzimy w niem wadę organiczną i prawdopodobnie zgubną; sprawa ta znajduje się w rękach komitetu, w którym łacińska rasa panuje, i z którego niemiecki żywioł systematycznie był usuwany. Niebezpieczny to objaw. Od czasu jak świat istnieje, wszystko co trwałe robiło się tylko przez Niemców, i nic stanowczego nie zrobi się bez nich. Może być, że założyciele Francji-Miasta przygotowali grunt, wyjaśnili niektóre szczególne punkta, ale prawdziwe wzorowe miasto ujrzymy dopiero na krańcach Syrji, nie zaś w owym kątku Ameryki. (C. d. n.)

KRONIKA TYGODNIOWA.

(Adres warszawski do cara. Samobójstwo Antoniego Schnejdera. Głód na Szląsku. Przedstawienie w teatrze nowych sztuk Fredry. Zola na scenie lwowskiej. Sprawozdanie zakładu Ossolińskich.)

Tydzień ubiegły przyniósł nam taki zapas nowości, że doprawdy dostać można zawrotu głowy. Procesy kryminalne, zamachowe sprawy, samobójstwa, proces socjalistów krakowskich, aresztowanie Hartmanna, głód szybkim krokiem do nas się zbliżający, okropne nowiny o niedoli na Szląsku i tyle innych wstrzasających wieści... Robi to wrażenie, jakby się coś rozprzęgło i miał powstać zamęt jakiś okropny. *There is something rotten* — w Europie. Czuć burzę w powietrzu. Jakiś ciężar przygniata wszystkie umysły, klęski sypią się jedna po drugiej, a moralista wobec tylu zamachów na trzeźwość jego sądu czuje się tak obsaczonym, jak car wobec zamachów swych wiernopoddanych. Kto potrafi wybrnąć z tych spraw paradoksalnych, kto zdoła w prądach przebijających się gwałtownie na wierzch, odróżnić złe od dobrego, kto wskaże drogę prawdy? Jeszcze nam, Polakom, rzecz ta jest ułatwioną. Ci, którzy są pod panowaniem

rosyjskiem albo niemieckiem, zaprawdę, niczego gorszego spodziewać się nie mogą od tego, co cierpią obecnie. Siedzieć więc mogą cicho i milczeć, słuchając wyroku Nemezis dziejowej. Społeczeństwo nasze już na tyle dojrzało po doznanych zawodach, że milczeć potrafi. To też przykro nas wszystkich uderza warcholstwo polityczne niektórych ludzi, którzy z własnej inicjatywy szlą adres manifestacyjny do cara. Rozumiemy oficjalne, przymusowe wylewy uczuć, podpisy „po ukazu", ale nie chcemy stawać w dobrowolnym adresie po którejkolwiek stronie wojującej wewnątrz Rosji, jak to jaskrawo wypływa z adresu warszawskiego, którego inicjatorem jest margrabia Wielopolski. Niech walczący w Rosji załatwią sprawę sami między sobą, bez naszej pomocy.

* * *

Smutne są czasy... W najbliższem otoczeniu unosi się złowroga jakaś atmosfera. Samobójstwa mnożą się jedne po drugich i zabierają z pośród nas ludzi, których nauczyliśmy się szanować. Boleśnie nas dotknęła śmierć, którą sobie zadał Antoni Szneider, znany pracownik i zbieracz w dziedzinie nauk archeologicznych. Nikt mu nie przypisywał wielkiego polotu umysłowego, nie należał on do tych ludzi, którzy wiedzę o wiele naprzód posuwają, ale był cichym robotnikiem wiedzy, bez kapitału wielkiego, który jedną posiadał wielką namiętność w życiu: archeologję. Niejednokrotnie byliśmy razem na wycieczkach w różnych okolicach kraju naszego i widzieliśmy ten szczery zapał z jakim zmarły grzebał w dawnych grobach i ten entuzjazm, którym przyjmował najdrobniejszy ślad życia z przeddziejowych czasów. Ułamek starej urny, więcej mu radości sprawiał, niż wszelkie rozkosze świata. Ułamek krzemienia ciosanego, wykopany z ziemi, czynił go szczęśliwszym, niż gdyby znalazł bryłę złota. Wiódł żywot cichy, spokojny, odosobniony, nikomu nie zawadzał, a pod koniec opanowała umysł jego jakaś chorobliwa bojaźń przed wszystkiem i wszystkimi, aż wreszcie wykonał zamiar z którym się długo nosił, wsadzając sobie dwie kule pod czaszkę. Niech mu ziemia lekką będzie!

* * *

Już widać w kronice dzisiejszej z dziedziny gdzie niedola panuje wybrnąć nie będziemy mogli. Ze Szlązka przychodzą wieści przerażające i nawet wielkie ofiary, które dotąd złożono, nie wystarczają. Wstyd nam i smutno to przyznać, że w Galicji w tej mierze nic się prawie nie przyczyniło, i datki płyną ztąd w mikroskopijnych dozach. Zaledwie od czasu do czasu dzienniki przynoszą wiadomość o drobnych ofiarach. Amerykańscy Polacy już podobno dotąd więcej złożyli dla Szlązka w ofierze!

Komitet, który urządzał redutę na teatr Poznański, zajął się obecnie wydobyciem ze Lwowa zasiłku pieniężnego dla Szlązaków. Hr. Aleksander Fredro ofiarował na ten cel dwie swoje nowe komedje: „Trzy domina" i „Ubogi czy bogaty", które w Środę będą w teatrze wystawione. Tym razem ścisk będzie jak za dobrych czasów. Biletów już teraz nabywać można w Księgarni Polskiej.

* * *

Dziwne odebraliśmy wrażenie na przedstawieniu sławnego dramatu Zoli *L'assomoir*. Najprzód teatr nie był zapełniony. Wielkie puste luki widziało się i w parterze i w lożach. Gdyby to przypisać można było temu, że publiczność lwowska potępia kierunek artystyczny, któremu Zola hołduje, nic nie mielibyśmy do nadmienienia. Wrażenie jednak jakie odebraliśmy, było to, że po prostu nie wiedzą u nas kto jest Zola. To znowu jest smutnem, bo cokolwiekbądź przytoczyć można na potępienie kierunku tego pisarza— jedna rzecz jest pewną, że odgrywa on obecnie w literaturze powszechnej znakomitą rolę. Mniejsza o to czy szkodliwą, czy pożyteczną. Jestto jednem słowem człowiek, którym się cały świat cywilizowany interesuje. Sama ciekawość poznania tej wybitnej osobistości, powinna była ściągnąć tłumy do teatru, na zasadzie przynajmniej: *Homo sum et nil humani a me alienum puto*. Tymczasem zaledwie małe kółko ludzi interesujących się jako tako literaturą powszechną zgromadziło się w teatrze. Lecz i tych spotkała niemiła niespodzianka. To co zobaczono nie było wcale dramatem Zoli a po prostu nędzną jego niemiecką przeróbką. Jeszcze pierwsze akty były podobne, ale całe rozwiązanie sztuki, poszło zupełnie odmiennemi tory. Wszystkie zalety pióra ostrego Zoli, znikły, a pozostały łachmany jego wad, rażące obrzydliwością i brudem. Przeróbka do tego stopnia zmieniła sztukę, że z dramatu, zrobiła się bezbarwna pod koniec komedja, a co jeszcze dziwniejsza, nie wiadomo w jakim celu nazwiska zostały pozmieniane. I tak np. ten co u Zoli nazywa się Lantierem— na scenie tutejszej nosił miano Coupeau, a prawdziwy Coupeau, przezwany zosał Lantierem. To też nic dziwnego, że ta maskarada, zaprawiona niesmacznym sosem niemieckim, tylko wstręt wzbudzić mogła i sztuka upadła z kretesem. już na pierwszem przedstawieniu. Tak świetnego *fiasco* jeszcześmy we Lwowie nie oglądali. Mój Boże! coby Zola powiedział, gdyby swój utwór zobaczył w takiej sukience?

* * *

Ogłaszane perjodycznie sprawozdania Zakładu im. Ossolińskich przedstawiają dosyć szczegółowy obraz stanu jego, oddając publiczności niejako kontrolę nad nim. Z ogłoszonego właśnie sprawozdania za rok ubiegły dowiadujemy się, że liczba inwentarza dzieł drukowanych doszła z końcem roku do 74.165; rękopisów posiada zakład 2.745, autografów 2.680, dyplomatów 870, rycin 22.512. Liczba przedmiotow muzealnych wraz z zbrojownią przeworską sięga do 2.200, a gabinet numizmatyczny liczy samych polskich monet 1697, innych wraz z dubletami 8750. W porównaniu zatem z rokiem poprzedzającym przybyło w 1879 do biblioteki Zakładu książek 1880, rękopisów 168, dyplomatów 7, rycin 681 i t. d.

Majątek wynosił ogółem z końcem roku 1878, w nieruchomościach 497.667, w papierach wartościowych 149.835. Suma ta zwiększyła się w r. 1879 o 18.182. zł., która przybyła z nadrostu funduszu rezerwowego i rozdzielona pomiędzy kuratorję bibljoteczną i ekonomiczną, przeszła stale na własność Zakładu.

Dochód bieżący z dóbr itd. wynosił w r. 1875 sumę 34.674. Rozchody jako to, płace urzędników wyniosły 31.516 zł. Zaoszczędzono zatem 3097 zł. biorąc wszędzie liczby okrągłe. Na zakupno książek wydano w ciągu roku stosunkowo małą kwotę 1.693 zł., na nabycie innych przedmiotów naukowych i muzealnych rękopisów itd. 675 zł. Najwięcej przybyło z darów od rozmaitych osób, których poczet bardzo długi wylicza sprawozdanie. Świadczy, to że zakład doznaje sympatji zarówno w świecie naukowym, z którym rozległe wiążą go stosunki, jak i u całej polskiej publiczności. Najznakomitszy dar w roku ubiegłym uczynił zakładowi książę Władysław Czartoryski, ofiarując całą bibljotekę, mieszczącą 595 dzieł i broszur, treści wyłącznie politycznej i ekonomicznej, zakupioną po śp. Henryku Wyzińskim w Paryżu. Dar ten uzupełnia jedyny w swoim zodzaju zbiór dzieł ekonomicznych ofiarowany zakładowi przed kilku laty przez pana Ludwika Skrzyńskiego.

Rekonstrukcja czytelni naukowej, urządzonej obecnie w sposób o wiele dogodniejszy dla czytających, częściowe szkontro bibljoteki, uporządkowanie w osobnych tekach publikacji ulotnych koleją chronologiczną, począwszy od XVIII wieku aż do czasów najnowszych, wreszcie uporządkowanie ostateczne zbioru rycin i urządzenie osobnego *gabinetu*, w którym ryciny zakładu wedle szkół i rodzajów będą na widok publiczny kolejno wystawiane, oto są główne prace, dokonane w ciągu roku 1879, chlubnie o wzroście zakładu i pieczołowitości jego przełożonych świadczące.

PISMIENNICTWO POLSKIE.

Trzy opowiadania historyczne przez dra. Antoniego J. Lwów, 1880.

Autor piszący pod powyższym pseudonymem posiada w tej chwili u nas taką wziętość, jaką mało który z pisarzów pochlubić się może. Mając sposobność poznajomienia się ze źródłami archiwalnemi, do których mało kto inny przystęp mieć mógłby, czerpiąc z kronik i materjałów zarówno polskich jak rosyjskich, wziął on sobie za zadanie w sposób obrazowo przystępny obrabiać te ustępy z dziejów naszych, do których charakterystyki rzeczone źródła dostarczają mu pewnych mniej znanych, lub całkiem nowych szczegółów. Ztąd w opowiadaniu jego znane zresztą zdarzenia lub postacie, przedstawiają się nieraz w nowem świetle, służącem do wyjaśnienia prawdy historycznej. Pisma dra Antoniego J. osnute są zawsze na materjale ściśle historycznym, źródłowym, co im daje pewną wartość naukową; a pisane są stylem przystępnym, potoczystym i obrazowym, co znowu przyczynia się do rozpowszechnienia ich w najszerszych kołach czytelniczych, dodając im uroku powieściowego.

Takiemi cechami odznaczają się wydane dawniej przez tegoż autora *Gawędy z przeszłości Nowe opowiadania historyczne*, jako też i niniejsze *Trzy opowiadania*, z których treścią zamierzyliśmy dzisiaj poznajomić naszych czytelników.

W najnowszej tej pracy swojej przedsięwziął dr. Antoni J. przedstawić nam obraz kozaczyzny, owej niesfornej, butnej, rozpasanej, hajdamacką zwanej kozaczyzny, która tą niesfornością swoją tak wiele złego wyrządziła *matce Polszczy*, i przez długie lata była przedmiotem nieustannych kłopotów Rzeczypospolitej. Stosunki te znajdziemy nie w magicznem świetle zmyśleń poetycznych, lecz prawdy ściśle historycznej. Zarazem są tu wskazane przyczyny, z których w tym a nie innym kierunku wysnuł się wątek dziejowy, wskazane wpływy, które na ułożenie się w ten a nie inny sposób tych stosunków działały, i taki a nie inny stan rzeczy wywołały. Ku temu celowi posłużyły autorowi

trzy wybitniejsze z dziejów kozaczyzny postacie, mianowicie dzieje awanturniczego pretendenta do hospodarstwa wołoskiego Iwana Podkowy, dalej atamana Kosińskiego, tak pięknie przedstawiającego się na lotnym koniu w prześlicznej dumce Bohdana Zaleskiego, wreszcie Semena Nalewajki. Trzy te opowiadania, jakkolwiek każde z nich osobny tworzy obrazek, stanowią razem wziąwszy całość, z której wyraziście przegląda fizjognomia kozaczyzny, której żywot i dzieje wzięte są za tło tych opowiadań i z umiejętnym artyzmem ugrupowane.

Piękną jest Ukraina w pieśni naszych poetów, w dumach Bohdanowych, w których bohaterski duch kozaczyzny, blaskiem poezji opromieniony, tak nas uroczo zachwyca. Inaczej wszakże przedstawiają się rzeczy z bliska widziane, w prozaicznej nagości prawdy historycznej, jak je w niniejszych trzech opowiadaniach, na podstawie materjału źródłowego, dokumentów archiwalnych i urzędowych skreślone znajdujemy. Ów Iwan Podkowa, ścięty dla srogiego przykładu z rozkazu Batorego we Lwowie, o którym pieśń gminna powiada, że

Ukraina go żałuje — dumy o nim spiewa,

wyrządził niemało złego Rzeczypospolitej swemi najazdami na Wołoszczyznę, stawszy się tym sposobem przez długi czas twórcą zamieszek na Rusi i Ukrainie i przedmiotem fatalnego sporu pomiędzy Portą Ottomańską a Polską, mogącego dla nas bardzo fatalne mieć następstwa. Ów Kosiński apoteozowany w prześlicznej dumie Bohdanowej rycerz i bohater, z polskiego szlachcica Niżowiec i ataman kozacki, przez nagie szkła historji widziany, był po prostu hajdamaką i opryszkiem, uganiającym za rabunkiem i łupieżą, a *Nalewajki lotne Czajki*, półbohaterskiemi wyprawami swemi na Czarne morze więcej stokroć przynosiły szkody Rzeczypospolitej niż Carogrodowi.

I owoż mamy Ukrainę, mamy dzieje Niżu i Zaporoża skreślone bez oschłego pedantyzmu, bez tej niesmacznie pretensjonalnej uczoności, cechującej częstokroć wielu niższego rzędu historyków, mamy w rzuconych niejako od niechcenia i na pozór niepowiązanych z sobą obrazkach wytłumaczonego ducha całej onej epoki, do której odnoszą się te trzy ustępy. Jakby dla uzupełnienia wizerunku znajdujemy tu w drugiem mianowicie opowiadaniu szerokiemi pociągami skreśloną typową postać księcia Wasyla Konstantego Ostrogskiego. Nie omieszkał też autor wytknąć owych błędów, owych grzechów politycznych, skutkiem których nie umiano stosownem postępowaniem pokierować niesfornemi żywiołami kozaczyzny i zużytkować je na korzyść Rzeczypospolitej. Znamiona czasu, kierunek polityki, wizerunek społeczeństwa z całym kontrastem świateł i cieniów przewija się tu przed nami w powabnej opowieści

Wł. Z

BIBLJOGRAFJA POLSKA.

— *Au. Lir.* (T. Lenartowicz) Jagoda mazowieckich lasów. 16-ka. str. 62 Warszawa 75 ct.

— *Bartynowski Wł.* Krótkie wspomnienie o życiu i pracach artystycznych Jana Lewickiego. 8-ka str. 20. Poznań 60 ct.

— *Bogacki Feliks.* Rodowód liczb i cyfr 4-o str. 18. Warszawa 1880. 90 ct.

— *Girard Juljusz.* Rośliny pod mikroskopem 4-o str. 144. Warszawa 1880. 75 ct.

— *Dunin Karol.* Prawo własności, rzecz ekonomiczno-prawna dla nieprawników. 8-ka st. 151. Warszawa 1880. 90 ct.

— *Hempiński Ignacy.* Słowniczek techniczny kolejowy polsko-rosyjski i rosyjsko-polski 8-ka str. 81. Warszawa 1880. Kartonowane 1 zł. 50 ct.

— *Krakowski Nikodem.* Wykład teoretyczny i praktyczny korespondencji handlowej. Dzieło uwieńczono na konkursie ogłoszonym przez szkołę handlową prywatną w Warszawie i nakładem tejże wydane. 8-ka str. 521. Warszawa 1880. 3 zł. 15 ct.

— *Kussmaul dr. Adolf.* Zboczenia mowy. Próba patalogji mowy, przekład dr Adama Bauertza 8 ka str. 273. Warszawa 1880. 4 zł. 75 ct.

— *Leśniewska Bronisława.* Kucharz polski dla młodych gospodyń, czyli podręcznik obejmujący 1135 przepisów kucharskich na wszelkie potrawy mięsne i postne, gotowane, smarzone, pieczone, smakiem najrozmaitszych swojskie i obcych pomysłów pod właściwą nazwą. Wydanie szóste przejrzane, sprostowane, dopełnione skorowidzem i nomenklaturą francuską. 8-ka str. 423. Warszawa 1880. 2 zł 25 ct.

— *Mattei Hr.* Nowa elektryczno-homeopatyczna metoda leczenia Uzupełniona nowemi odkryciami i spostrzeżeniami, z dodaniem opisów chorób i organizmu ludzkiego. Podług dzieł francuskich, włoskich i innych przez J. B 8ka str. 248. Wilno 1879. 2 zł. 25 ct.

— *Mestenhausen Karol.* Kontredans i lansier opisane dla użytku uczących się 16-ka str. 64. Warszawa 1880. 40 ct.

— *Rymarkiewicz Jan.* Kolebka, dom i grób Jana Kochanowskiego czyli Sycyna, Czarny las i Zwoleń jaki dziś przedstawiają widok 8-ka str. 56 Poznań 1880. 90 ct.

— *Sienkiewicz Henryk.* Pisma, tom II zawiera listy z podróży 8-ka str. 318. Warszawa 1880 2 zł. 25 ct.

— *Szeliga Marja.* Bez opieki. Szkic powieściowy. 8-ka str. 212. Warszawa 1880. 1 zł. 25 ct.

— *Tarczyński Hip. Bog.* Pierwsze wiadomości o świecie dla ludu wiejskiego i miejskiego 8-ka str. 47. Warszawa 1880. 15.

— *Ujejski Kornel.* Obrazki dramatyczne Smok siarczysty w dwóch częściach: I. Precz! II. Smok swatem 8-ka str. 114. Lwów 1880. 1 zł. 50 ct.

— *Wilczyński A.* Wspomnienia obywatelskie 8 ka str 280. Lwów 1880. 2 zł. 60 ct.

— *Wojcicki K. Wł.* Warszawa, jej życie umysłowe i ruch literacki w ciągu lat trzydziestu od 1800 do 1830. 8-ka str. 179. Warszawa 1880. 2 zł. 25 ct.

— *Żywoty świętych* Pańskich, starego i nowego testamentu z dzieła księdza Piotra Skargi skrócone i zastósowane do użytku osób wszelkiego stanu i wieku przez Ap. C. 2 tomy 8-ka str. 314. 361. Warszawa 1880 z policzeniem za całość 7 zł. 50 ct.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura.

*** Niektóre dzieła Henryka Sienkiewicza (Litwosa) tłumaczy obecnie na język czeski, znakomity literat czeski, Arnos Schwab Polabsky. Znaną nowellę *Janko Muzykant*, podało właśnie czasopimo „Lumir“.

*** Stanisław Wegner w Poznaniu rozpoczął wydawnictwo zeszytowe na wzór słynnej: „Sammlung wissenschäftlicher Vorträge“ Virchowa i Holtzendorfa.

Będzie to zatem zbiór krótkich, poszytami wychodzących monografij naukowych, zarówno oryginalnych, jak tłómaczonych.

Pierwszy zeszyt zawiera szkic historyczny Froelicha: „Pochód tryumfalny Germanika“ w przekładzie St. Wegnera.

Dalsze zeszyty pomieszczą oryginalne prace Leona Wegnera, dr. Mrozińskiego, Kazimierza Jarochowskiego dr. Zygmunta Masłowskiego i innych.

Ten ostatni przygotował ciekawe studjum o „Halce“ Moniuszki.

*** Akademja napisów i literatury w Paryżu przyznała nagrodę fundacji Brunneta ziomkowi naszemu, p. Gustawowi Pawłoskiemu, za rozprawę konkursową o utworach wierszowych francuskich z epoki średniowiecznej.

*** Ks. dr. T. Bratranek, b. rektor i profesor historji niemieckiej w uniwersytecie jagiellońskim, znany autor arcycennego dzieła „Estetik der Pflanzenwelt“, oraz wielu studjów, wydał obecnie w Krakowie w przekładzie niemieckim „Mohorta“ Pola i Szujskiego tragedję, „Śmierć Władysława IV-go“.

Oba tłumaczenia ukazały się z drukarni uniwersytetu jagiellońskiego, wydane w nader małej liczbie egzemplarzy („als Manuskript gedrukt“).

*** W Paryżu wyjść ma wkrótce zupełna edycja pism i mów prezydenta rzeczypospolitej Grevy'ego.

*** Statystyka literatek i artystek. „Gazette des femmes“ ogłasza zajmującą statystykę kobiet, oddających się pracy około literatury, malarstwa i rzeźby we Francji

Z 1.700 literatek francuskich dwie trzecie części żyje na prowincji, zwłaszcza w południowych departamentach, a jedna trzecia w Paryżu.

W tej liczbie 1,000 piór poświęca się powieści i pismom dla młodzieży, 150 opracowywa książki szkolne, a 200 jest poetek.

2.150 artystek wystawia dzieła sztuki: w tej liczbie 107 rzeźbiarek, 602 artystek pędzla, 193 miniaturzystek, 754 maluje na porcelanie, 494 farbami wodnemi.

Z tej liczby dwie trzecie mieszka w Paryżu.

*** Ateneum w zeszycie za m. luty r. b. zawiera: 1. Szalona, powieść I. J. Kraszewskiego. 2. Król Lear, studjum krytyczne I. K. Kotarbińskiego 3. Matica Chorwacka i ruch literacki w Chorwacji. 4. Glorja, romans B. Pereza Galdosa, przetłumaczony z hiszpańskiego przez Władysławę S. 5. Młode siły, przez Piotra Chmielowskiego. 6. Listy czeskie. 7. Rozbiory i sprawozdania: Encyklopedja rolnictwa i Aleksander Kraushaar: Pieśni Heinego, przez P. Chmielowskiego. 8. Kronika naukowa, przez S. Kramsztyka. 9. Korrespondencja do redakcji. 10. Ogłoszenia.

*** Nr. 8. „Gazety Rolniczej zawiera:
1. Giełda produktowa i Monopol żydowski przez Jana Jeleńskiego 2. Utrzymywanie na stajni czy pastwisko? podał C. Rechlewski. 3. Ziemniaki przez J. R. Wielanda. 4. Sprawozdanie ze zwiedzenia niektórych majątków krajowych przez Dr. Tadeusza Kowalskiego. 5. Orka elektryczna 6. Kongres rolników austrjackich. 7. Listy ze Szląska Austrjackiego przez J. C. 8. Przegląd polityczny, 9. Wiadomości bieżące. 10. Rozmaitości. 11. Bibljografia i krytyka. 12. Odcinek zawiera: Z moralnej strony stosunków wiejskich, przez Juljana Łapickiego.

Nauka.

*** Konkurs na dzieło lekarskie.

Zmarły w roku 1876 w Goerbersdorfie ś. p. Roman Kowalewski, młody a obiecujący lekarz, ordynator kliniki chirurgicznej uniwersytetu warszawskiego, dał przed śmiercią polecenie, aby medal złoty, otrzymany przezeń w nagrodę pracy konkursowej, oddać z kolei w nagrodę za pracę naukową.

Medal ten, nie chcąc, by pamiątka przeszła w obce ręce, nabył dr. Niedźwiedzki z Serdobska (gub. saratowska), a fundusz ztąd powstały przeznaczono na nagrodę konkursową.

Fundusz ten wynosi obecnie 150 zł, a z dniem 1. stycznia 1882 roku będzie stanowił 165 zł.

Oddany on zostanie jako nagroda za najlepsze dzieło treści lekarskiej lub przyrodniczej, nadesłane w rękopiśmie stowarzyszeniu do wydawnictwa dzieł lekarskich w Krakowie, najpóźniej do 1. grudnia 1881 roku.

Praca ma być oryginalna i ściśle naukowa, a oceną zajmie się specjalny komitet.

⁂ „Kosmos“ pisze co następuje:

„Otrzymaliśmy książkę, której sam tytuł i imię jej autora stanowią dostateczną rękojmię o jej użyteczności.

Są to dra Bremikera „Logarytmy liczbowe i trygonometryczne sześciocyfrowe“ wraz z tablicami Gaussa do użytku szkolnego zastosowane, a objaśnione przez dra Daniela Wierzbickiego, adjunkta obserwatorjum astronomicznego krakowskiego.

Z przedmowy autora dowiadujemy się, że pierwsze tablice logarytmiczne w języku polskim ukazały się w roku 1787 w Warszawie pod tytułem: „Logarytmy dla szkół narodowych“ w drukarni Scholarum Piarum

Autorem jest ksiądz Ignacy Zaborowski — logarytmy te powtórnie były wydane w roku 1806.

Dziś obydwa wydania należą do rzadkości antykwarskich, wskutek czego szkoły posługiwać się musiały książkami francuskiemi lub niemieckiemi.

Zaradzając temu brakowi, pan dr. D. Wierzbicki zajął się wydawnictwem logarytmów, które objaśnił wstępem, zwięźle i jasno napisanym.

Książka ta złożoną jest z 520 stronic ścisłego, drobnego druku stereotypowego.“

⁂ Redakcja „Wędrowca“ w ostatnim numerze swego pisma proponuje założenie „Towarzystwa krajoznawczego“, na podobieństwo wielu towarzystw geograficznych, istniejących we wszystkich większych miastach Europy. Towarzysswo takie ma na celu uprzystępnienie i rozwój nauk geograficznych, dokładne zbadanie kraju pod względem nietylko geograficznym, ale przemysłowym, rolniczym, handlowym, leśnym itp. i służyć może ku wyjaśnieniu interesów i stosunków odpowiednich każdej części kraju.

⁂ W ostatnim numerze „Kroniki lekarskiej“ dr. Mayzel pomieszcza wzmiankę o uczonym czeskim, prof. Janie Ew. Purkynje.

Znakomitemu temu fizjologowi, mikrografowi, myślicielowi, lingwiście i poecie zarazem, towarzystwo lekarzy czeskich w Pradze w połączeniu z „Umelecką besedą“ postanowiło obecnie poświęcić płytę pamiątkową, która zostanie umieszczoną w murze domu, gdzie przez lat wiele pracował sławny mąż.

Uroczyste założenie tablicy nastąpi tego lata.

Dr. Mayzel zachęca do przyjęcia udziału w uczczeniu sławnego męża i naszych także lekarzy, przypominając, że Purkynje polską także przemawiał mową, pisał po polsku i ku nam żywił serdeczne uczucia

Myśl to, którą w zupełności podzielamy.

⁂ Paryzka akademja sztuk pięknych w miejsce zmarłego hr. Cardaillac powołała na członka księcia Aumale.

Prasa perjodyczna.

⁂ Profesor Cytowicz zamierza w Petersburgu wydawać codzienną gazetę dużych rozmiarów. Pierwszy numer tej gazety ma się ukazać w marcu r. b.

⁂ „Statystyka czasopim“.

W tej chwili przedstawia się stan prasy na globie ziemskim jak następuje:

W Niemczech wychodzi obecnie 3.778 czasopism i gazet, w Austrji 1 200, w Anglji 2.509, we Francji 2.000, we Włoszech 1 126, w Rosji 500 itd. Ogółem w Europie 13.625

W Azji zaś wychodzi 397, w Afryce 50, w Ameryce 9.129 (głównie w Stanach zjednoczonych), w Australji 100. Ogółem na globie ziemskim pojawia się 23,291 codziennych, i tygodniowych czasopism.

Wiadomości społeczne i ekonomiczne.

⁂ W sprawie pszczolnictwa wystąpił w „Gazecie rolniczej“ specjalista pan Brunon Dłużewski, i od światłych obywateli domaga się dla niego opieki, jak przed niedawnym czasem pan Girdwojń dla rybołowstwa i w imię tych samych zasad.

Przyczyn upadku rolnictwa między innemi szukać należy w nieumiejętnem wyzyskiwaniu wszystkich gałęzi z głównym pniem związanych; myślimy o kosztownych i wysoce postępowych udoskonaleniach, a pomijamy to, co mamy gotowe, co tylko czeka podjęcia.

Autor jest tego zdania, że jak dla rybołowstwa, tak i dla bartnictwa potrzebna jest zbiorowa instytucja — muzeum, któreby było ogniskiem wiedzy, punktem oparcia dla tych, którzy uznają potrzebę od żywienia tak znacznego źródła dochodu. Muzeum udzielałoby objaśnień za pewnem wynagrodzeniem, posiadałoby okazy wszelkich przedmiotów, związek z pszczolnictwem mających, byłoby ogniskiem specjalnej wiedzy w najobszerniejszem znaczeniu, której brak tak silnie czuć się daje. Podobne muzea istnieją w Londynie i Paryżu i wielkie przysługi oddają krajowym pszczolarzom.

Kto uznaje potrzebę podniesienia pszczolnictwa u nas, ten powinien uznać i potrzebę założenia u nas podobnego muzeum.

⁂ Wiedeńska komisja lekarska, złożona z profesorów medycznego wydziału: dra Brücke, dra Billrotha, dra Ducheka, dra Bambergera, dra Heschla, dra Schlugera, dra Strickera, dra Leidesdorfa, dra Meynerta, dra Rosenthala, dra Benedikta, dra Nowaka i dra Obersteinera, orzekła, że produkcje magnetyzera Hansena odbywane na „mediach“ są szkodliwe dla zdrowia tychże; wskutek tego zabroni policja dalszych przedstawień Hansenowi.

⁂ W Londynie powstanie wkrótce zakład leczenia nałogowych pijaków. Wydział zakładu już się ukonstytuował. W zakładzie znajdą pomieszczetylko dobrowolnie się zgłaszający, lecz muszą w nim tak długo pozostawać, dopóką nie zostaną uznani za wyleczonych.

⁂ Zmarły niedawno Benjamin Rampal, tłómacz pism Schultze Delitscha, cały swój majątek przekazał testamentem miastu Paryżowi. Wynosi on dwa miljony i ma służyć wyłącznie na założenie towarzystw robotniczych.

⁂ Kompanja „Eastern Extension Australia and China Telegraph Comp.“ założyła drugi podmorski drut między Singapore na półwyspie Malacca i portem Darwin w Australji i przyjmuje depesze do tych miejscowości.

Podróże.

⁂ Do Neapolu 15. lutego przybyła „Vega“ wraz z dwoma parowcami i niezliczona ilość łodzi, powitana strzałami armatniemi. Oficerów i członków wyprawy naukowej witały władze cywilne i wojskowe. Okręty włoskie i gmachy publiczne obwieszono włoskiemi i szwedzkiemi flagami. Na brzegu stał niezliczony tłum ludu i przeszło 2000 studentów w chwili przybycia „Vegi.“ Członkowie wyprawy szwedzkiej pozostaną tu około ośmiu dni.

⁂ Nowa wyprawa do Afryki środkowej, pod kierownictwem księcia Borghése i dra Pellegrino Matteucci, opuściła Rzym.

⁂ Z Halifax pod kierunkiem dra Emila Dieszels wypłynie niebawem nowa wyprawa amerykańska do bieguna północnego.

ROZMAITOŚCI.

Mrozy.

Zima obecna bez zaprzeczenia należy do najsurowszych. Mróz dał się czuć dobrze Europie całej a powodzie na wiosnę, zresztą już i dziś tu i owdzie występujące częściowo, dopełniają miary klęski.

Nie zamierzamy przecież w tej chwili zajmować się skutkami obecnego stanu rzeczy, lecz chcemy tylko wyliczyć lata, w których panowanie zimna najwięcej się we znaki dało.

Zaczynamy od czasów najdawniejszych naszej ery, o ile dochodzą nas ztamtąd wiadomości.

W pierwszym wieku po Chrystusie lód przy brzegach morza Meockiego tak był silny, że konnica Neoptolemosa, wodza Mitrydatesa, pobiła nieprzyjaciół w zimie na tem samem miejscu, na którem walczono na okrętach.

W roku 400 na 401, jak świadczy Marcelius Comes, cała prawie (?) powierzchnia morza Czarnego była lodem pokryta.

Puściwszy na wiosnę, lód przez dni trzydzieści płynąć miał następnie przez Bosfor.

W roku tym Rodan był zamarznięty w całej długości.

Według zdania specjalistów, potrzeba było na to ciągłego przez czas znaczny mrozu w wysokości najmniej 19 stopni.

W roku 764 zamarznąć miało morze Czarne i cieśnina Dardanelska na 40 centimetrów, a na to upadło jeszcze 30 centim. śniegu.

W roku 800 na 801 grubość lodu przewyższała podobno 80 centim

W tym samym czasie dłużej niż przez miesiąc mogły przechodzić wozy ładowne przez Dunaj, Elbę i Sekwanę.

Zamarzły także wody na południu, jako to: Rodan, Po i nawet morze Adrjatyckie.

W wielu portach morza Śródziemnego były także lody.

W roku 829, według świadectwa Dyonizjusza, patryarchy z Antyochji, który udawał się wówczas do Egiptu, Nil nawet w dolnym biegu zamarzł gdzieniegdzie.

W r. 860 z wysp Jońskich jeździć miano do Wenecji po lodach morza Adrjatyckiego końmi!!!

To już nie jest chyba prawdopodobne...

W roku 1453 mróz w Paryżu trwał przez trzy miesiące, a w Holandji śniegi padały przez dni 40.

W r. 1460 można się było dostawać lodem z Gdańska do Heli, a także z Danji do Lubeki.

W r. 1544 we Francji tak zamarzły wina, że musiano dobywać je z beczek ostremi narzędziami

Żołnierzom zamiast porcji w płynie dawano wówczas bryły lodu winnego.

W roku 1622 flota wenecka w lagunach zupełnie obmarzła

W roku 1658 Karol XII. z całem wojskiem, armatami i. t. d. przeszedł po lodzie mały Bełt.

W XVIII. wieku odznaczały się lata 1708 i 1709, kiedy zatoka wenecka oraz porty Genui i Marsylji stanęły.

W wieku XIX. wyróżnia się dotąd rok 1813 i 1850

W naszym kraju, według świadectw kronikarzy srogie wielce były lata: 994, 1323, 1491, 1498, 1526, 1659 i 1740.

Rok 1498 jest nawet u nas historycznym.

W roku tym bowiem, jak wspomina Kromer, Turcy, wkroczywszy w liczbie 70,000 przez Wołoszczyznę w obce im granice, tak zostali przez mrozy i śniegi ściśnieni, że wktótce wymarło 40,000 ludzi i padło 100,000 najlepszej rasy koni.

Żołnierze szukali ocalenia w wydrążonych kadłubach koni i pomimo to marzli.

W roku 1659 mrozy były tak silne, że ptactwo w powietrzu marzło.

Od Redakcji.

Z dniem dzisiejszym rozpoczęliśmy rozsyłkę „Świeczników Chrześciańśtwa“ jako premium dla szanownych prenumeratorów Tygodnia.

Treść Nr. 9. str.

Drukarni „Gazety Narodowej“ pod zarządem A. Skerla. Wydawca i odpowiedzialny Redaktor Mikołaj Biernacki.